

ODGŁOSY

ROK XX NR 36 (1030)
4 WRZEŚNIA 1977 R.
CENA 3 ZŁ



Jerzy Urbankiewicz

„ułani, ułani malowane dzieci”

str. 6-7



Tacy jak ja trafiają często na łamy prasy. Piszą o nas w poważnych tygodnikach i gazetach żyjących jeden dzień. Przeważnie wypisują brednie, chociaż w dobrej wierze, której czasami towarzyszy talent. Natomiast zawsze entuzjazm, który mnie teraz zadziwia, jak kiedyś śmieszyl. Wówczas bowiem przywiązywałem mniejszą wagę do szafowania słowami bez pokrycia, co teraz, w naszej odmienionej rzeczywistości, wydaje mi się wprost nieprzyzwoite i szkodliwe. Pamiętacie tę modną swego czasu etykietkę: self made man? Znałem na tyle angielski, żeby ten amerykański slogan rozszyfrować, ale moja dociekliwość była ograniczona, nie skłoniła mnie do poważniejszej refleksji. Uważam jednak, że nie było to błędne stanowisko: wtedy nie potrafiłem być innym człowiekiem. Teraz, z ponad dziesięcioletniej perspektywy czasu, widzę nawet, że nie powinienem być inny.

To jest moje pierwsze poważne odkrycie w tym stanie doskonałej próżni. Z pozoru tylko pobrzmiwia fatalizmem, jako wyraz zgody na nieuchronność ludzkiego losu. Przy odrobinie dobrej woli można jednak rzecz całą oświetlić całkiem inaczej: ujrzeć człowieka i jego egzystencję uwarunkowaną przez historię. W moim przypadku, ściślej mówiąc, przez historię współczesną.

KONRAD FREJDLICH

PRZED BURZĄ

Ostatni rok pokoju w Europie przed wybuchem II Wojny Światowej niósł nieuchronną zapowiedź konfliktu. Nad kontynentem gromadziły się groźne chmury. Nie była to nawet przysłowiowa cisza przed burzą, w eterze niesły się triumfal-
ne wrzaski Hitlera, który nie szczędząc pogroźek wobec sąsiadów, stawał do kąta niedawnych zwycięzców z Wersalu. Była to jego obsesyjna żądza odwrócenia biegu historii i skierowania potoku dziejów korytami, które chciał wyłobić dla

(Dalszy ciąg na str. 2)

JERZY WAWRZAK

WEJŚCIE PRZEZ SEKRETARIAT

str. 10

TOMASZ SOLDENHOFF

LEGITYMACJA NR 1000

Str. 3

ZASTĄPIĄ NAS KOMPUTERY?

Str. 8



SERCE SERC

str. 5

Doc. dr hab. WITOLD NAWROCKI jest dziekanem Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach; uprzednio przez wiele lat był Zastępcą Redaktora Naczelnego Wydawnictwa „Śląsk”. Jest autorem kilku książek eseistycznych wśród których „Trwanie i powrót” oraz „Klasa, ideologia, literatura” zdobyły sobie zasłużone miejsce w marksistowskiej krytyce literackiej. Również często zabiera głos na łamach prasy („Życie Literackie”, „Trybuna Ludu”), aktywnie uczestnicząc w życiu literackim kraju. Jest laureatem wielu nagród, m. in. Nagrody Ministra Kultury i Sztuki za rok 1977.

WITOLD NAWROCKI

WSPÓŁCZESNA POWIEŚĆ POLITYCZNA

str. 4

„Jakże można wykorzystać traktat wersalski!... Jak każdym z punktów tego traktatu można rozpałcić umysły i serca narodu niemieckiego, aż wreszcie sześćdziesiąt milionów mężczyzn i kobiet stwierdzi, że ich dusze zapłonęły gniewem i wstydem. Buchnie z nich płomień jak z hutniczego pieca, a w nim zahartuje się twarda jak stal wola i rozlegnie się ogólny okrzyk: „Wir wollen wieder Waffen! Ządamy znów broni!”

W październiku 1938 roku nie były to już tylko czcze słowa. W ciągu kilku lat rządów Hitlera Niemcy wyrastały na pierwszą potęgę militarną Europy. Wykorzystując chwilę i słabość zachodnich demokracji dyktator z Berlina rósł w pychę, rozszerzając nieustannie swoje żądania, z których każde miało być już ostatnim. Bez wystrachu zanęcał Austrię brutalnie depreczując wszystkie normy prawa międzynarodowego i nie doczekał się ani jednego protestu ze strony mocarstw zachodnich, które uważały się odpowiedzialne za układ sił w Europie. W kilkanaście miesięcy później te same mocarstwa zdradziecko łamiąc sojusze oddały na łup Hitlera Czechosłowację, upokorzoną przez niedawnych protektorów. Nieustannie ustępstwa Francji i Anglii na rzecz pokoju za wszelką cenę, dopóki ich własne interesy nie były bezpośrednio zagrożone, coraz bardziej rozluźniały Hitlera, który po monarchistycznym sukcesie okrzyknął z trzech stron Polskę, upartywał w niej kolejne ofiary swej agresywnej polityki. Od tego właśnie momentu rozpoczyna się akcja emitowanego ostatnio w naszej telewizji ośmiodecinkowego serialu zatytułowanego „Przed burzą” według scenariusza Ryszarda Freka i Włodzimierza T. Kowalskiego, a zrealizowanego z powodzeniem przez reżysera Romana Wionczka. I chociaż teatr faktu naszej TV może poszczycić się niemałymi sukcesami (przypomnijmy choćby głośną realizację Jerzego Antkiewicza czy Grzegorza Królikowskiego) widowski „Przed burzą” ze względu na swój rozmach, dbałość o wierność realiów, portretowe podobieństwo bohaterów, wreszcie dokumentarną atrakcyjność źródeł historycznych było i jest zjawiskiem bezprecedensowym. Zwalczając, że autorzy scenariusza, z których jeden jest politykiem i wybitnym znawcą problematyki międzynarodowej, drugi zaś historią najnowszej, sięgnęli do przekazów mniej znanych ukazując szeroką i wielostronną panoramę wydarzeń politycznych w Europie końca lat trzydziestych oraz krach rozgrywanej dyplomatycznej w ostatnim roku po-

koju przed ogólnoeuropejskim konfliktem, gdzie zmierzyły się barbarzyństwo i humanizm, tyrania i demokracja, rasizm i egalitaryzm. Odwieczne ideały ludzkości, którymi słusznie chlubi się europejska kultura, wyszły z tego kataklizmu rozpetanego przez najcięższe w dziejach siły, okaleczone lecz zwycięskie.

Literacki opis wydarzeń historycznych zawsze związany jest z pewnym ryzykiem. Relacja z przeszłości, nawet oparta o studia źródłowe i bogate wykorzystanie dokumentów pisanych, jest przecież raczej komentarzem historii niż nią samą. Rozumiał to doskonale Lew Tolstoj zabierając się do swego arcydzieła „Wojna i pokój”, które wyposażył w esej filozoficzny, jakby jego wizja wojny francusko-rosyjskiej w 1812 roku była nie dość czytelną. Pisał tam wprost:

„Jedynym pojęciem, które może wytłumaczyć ruch narodów, jest pojęcie siły równej sile owego ruchu. A tymczasem przez pojęcie to różni historycy rozumieją najrozmaitsze siły, bynajmniej nie identyczne z obserwowanym ruchem (...). Dopóki pisze się historię poszczególnych jednostek (choćby to byli ludzie, jak Cezar, Aleksander, Luter, czy Wolter), dopóki nie będzie to historia wszystkich — bez wyjątku wszystkich ludzi biorących udział w danym zdarzeniu — nie podobna uniknąć przypisywania poszczególnym osobom siły, nakazującej im wytyczenie wszystkich sił ku wspólnemu celowi. Jedynym pojęciem tego rodzaju, jakie historycy znają jest władza.

Takie pojęcie jest jedną korbą, za pomocą której można operować materiałem historii we współczesnym jej ujęciu... Taką „korbę” ujęli też w swoje ręce Ryszard Frelk i Włodzimierz T. Kowalski. Opierając się na autentycznych materiałach pochodzących z ósrodków dyspozycyjnych władzy (protokoły rokowań międzynarodowych, teksty porozumień itd.) stworzyli utwór par excellence polityczny. Jego bohaterem jest polska racja stanu, taka, jaką była w interpretacji czołowych polityków odpowiedzialnych za losy naszego kraju we wrześniu 1939 roku, i wobec tej racji nadrzędnej mniej znaczące wydają się racje osobiste czy nawet najdramatyczniejsze przeżycia osób, które reprezentują ją na zewnątrz. Bo chociaż akcja serialu przenosi się

raz po raz do Berlina, Londynu, Paryża i Moskwy, to przecież sноп światła skierowany jest nieustannie na Warszawę i sprawa polska stanowi główną oś dramaturgiczną utworu. Może dlatego, mimo pewnej statyczności ujęcia (akcja nie wychodzi poza gabinety notabli, sale konferencyjne itd.) utwór Frelka i Kowalskiego był z taką uwagą oglądany przez wszystkie pokolenia widzów. Wartości emocjonalne związane z odbiorem serialu okazały się silniejsze niż pewne niedostatki dramaturgii i one wła-

śnie tego okresu, inspirowana przez obsesyjny antysemityzm, znalazła się w ślepej uliczce. Mogliśmy tylko, za cenę poniżenia, stać się wasalem Niemiec i wspólnie z nimi pomaszerować na Radziecką Rosję albo też zaryzykować z nimi konflikt wojenny, co było nieuniknione wobec agresywnej polityki Hitlera. I w czasie gdy dziekan korpusu dyplomatycznego w Warszawie, nuncjusz papieski Filippo Cortesi z okazji nowego roku 1939 składał życzenia głowie państwa roztaczając „świeciłą” wizję prawdziwego poko-

tego, że jako naród wyszliśmy z tej najcięższej próby zwycięsko i ostatecznie nasze oddziały wojskowe u boku Armii Czerwonej zdobyły Berlin zatykając na Bramie Brandenburskiej biało-czerwony sztandar, tym trzeźwiej musimy spojrzeć na wydarzenia, które poprzedziły tragiczny wrzesień 1939 roku. A to właśnie przekonywająco przedstawia serial „Przed burzą”.

W tym też kierunku poszły wysiłki reżysera Romana Wionczka, który stanął przed niełatwym zadaniem. Jak dokumentalne materiały scenariusza przetworzyć na żywe widowisko teatralne, jak działania jednostek, często maskowane protokołem dyplomatycznym i urzędową sztywnością skojarzyć z dążeniami mas, nieobecnych w spektaklu, a przecież wywierających wpływ na decyzje polityków i często kształtujących ich nastroje? Poszerzeniu społecznego tła służyły zresztą autentyczne zdjęcia filmowe z tego okresu, które stanowiły integralną część spektaklu.

Reżyser starał się nadać zaprezentowanym postaciom historycznym ludzkie cechy, wyposażając je w zespół prawdopodobnych zachowań i reakcji. Innymi słowy, mimo oficjalnego języka, którym przemawiają z ekranu, starał się ukazać je także prywatnie, kiedy wątpia albo nie potrafią ukryć własnych wzruszeń. Ten zabieg wywołał się zwłaszcza w odniesieniu do tych postaci, które w scenariuszu ukazane są w rozwoju. Można mówić o dużym sukcesie Marka Walczewskiego, który zagrał Becka, najpierw zaufanego w sobie a potem niemal tragicznego; Becka, który przeżywał wreszcie na oczach. Ogniem przekonywający był Ignacy Gogolewski jako Lipski, który pierwszy domyśla się losu Polski. Dojrzałą rolę stworzył Michał Pawlicki przedstawiając satanicznego i cynicznego Ribbentropa. Niezwykle trudnemu zadaniu sprostał Henryk Bista. Jego Hitler jest nie tylko psychopatą i demagogiem, ale także politykiem, który po gangstersku rozprawia się z przeciwnikami. Można mówić o udanej próbie Tadeusza Janeczara w roli ambasadora Noëla, Witolda Kaluskiego odtwarzającego postać wiceministra Szembeka, o sukcesie Stanisława Zaczeka w roli Chamberlaina i Mariusza Dmochowskiego w roli Stalina, Henryka Borowskiego, który zagrał lorda Halifaxa, Krzysztofa Chameca w roli ambasadora Kennarda i wielu, wielu innych aktorów, których nie wymieniam już tu z nazwiska. Można także mówić o sukcesie produkcyjnym naszej telewizji, która potrafiła udźwignąć organizacyjnie tak trudny spektakl.

KONRAD FREIDLICH

SZTUKA LUDOWA I FOLKLOR W SIERADZKIEM

W programie rozwoju kultury województwa sieradzkiego do 1980 roku ustalone zostały formy opieki i inspiracji dla twórczości ludowej, która na tym terenie rozwija się od wielu lat i posiada ważny udział w pomnażaniu polskiej kultury. Jedną z tych form są festyny sztuki ludowej i folkloru.

II Festyn Sztuki Ludowej i Folkloru Województwa Sieradzkiego odbędzie się w dn. 2-4 września. W ciągu trzech dni począwszy od galowego Koncertu, który poprowadzi Wojciech Siemion — trwać będzie święto folkloru i sztuki ludowej z udziałem znanych i cenionych zespołów pieśni i tańca, kapel ludowych oraz licznych twórców z Sieradzkiego.

Do zorganizowania tej imprezy, wymagającej wiele wysiłku i mobilizacji ludzi odpowiedzialnych za stan kultury w nowym województwie, włączyło się kilka placówek i instytucji kultury, a także sami twórcy ludowi.

W katalogu wydanym z okazji II Festynu znajdują się lista zawierająca sto nazwisk sieradzkich twórców ludowych — rzeźbiarzy, malarzy, garniarzy, wycinankarzy, tkaczy, kowali. Wśród nich są laureaci tegorocznych ogólnopolskich

nagród w dziedzinie twórczości ludowej: nagrodę im. Oskara Kolberga otrzymała Józefa Chaladaj z Monic, mistrzyni tkactwa, haftu i wycinanki, natomiast Stanisław Korpa z Rudy uhonorowany został nagrodą im. Jana Pocka, oryżnaną przez redakcję „Chłopskiej Drogi”. Sieradzcy twórcy ludowi kultywują piękne tradycje rodzimej ziemi upamiętniając jej obrzędy, baśnie i legendy i zaświadczając o wyobraźni i wrażliwości ludzi pracujących w polu, kuzni, przy warsztacie tkackim. Odczują ich troskliwą opieką władze wojewódzkie oraz Muzeum Olgrowe i Muzeum Ziemi Wieluńskiej.

Niedawno rozstrzygnięty został konkurs na współczesną sztukę ludową Sieradzkiego, którego plan zostanie pokazany podczas II Festynu w Muzeum Olgrowym w Sieradzu. Parę tygodni temu, w Muzeum Ziemi Wieluńskiej, czynna była wystawa pn. „Haft i tkanina Sieradzka”. Swoje barwne i misternie hafty oraz tkaniny zaprezentowały ludowe twórczyni: Józefa Chaladaj, Maria Pawlak, Józefa Dutkowska, Stanisława Kubik, Rozalia Mośńska, Anna Kruszek, Stanisława Stępień, Stanisława Sowała, Władysława Dobroszkowa.

Nie można pominąć przedstawicieli poezji ludowej. Prym w dziedzinie wiersze, opowiadania i pamiętniki. Drukuje od 1948 roku. Debiutował na łamach „Wici”. Godny uwagi dorobek pozostawiła zmarła w tym roku Helena Drosińska z Olewina. Ciekawie rozwija się talent Marii Marchewkowej z Siemkowiec, która pisze najczęściej o przeszłości wiejskiego środowiska, próbując przetrwać ciągłą tradycyjny model ludowego wierszowania. Gawędziarstwo i pisarstwo ludowe reprezentują ponadto Kazimierz Maurer i Alfons Bedkowski.

Twórczość ludowa województwa sieradzkiego inspirowała filmowców. Przypomnijmy, że w tegorocznym XVII Ogólnopolskim Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie, jedną z pięciu nagród głównych — „Brazowego Lajkonika” — otrzymał łódzki reżyser Witold Żukowski. Jego film „Rzeźbiarce z Ziemi Sieradzkiej” mówi o życiu i twórczości znanych w kraju rzeźbiarzy ludowych z Sieradzkiego — Jerzego Kaczmarka, Stanisława Korpy i Szczepana Muchy.

W ubiegłym roku w Ogólnopolskim Przeglądzie Filmów Folklorystycznych w Opocznie pierwszą nagrodę uzyskał film „Pracownia” Aleksandra Kwiatkowskiego, członka Amatorskiego Klubu Filmowego „Emdek” w Zduńskiej Woli. Jest to film poświęcony pracy artystycznej rzeźbiarza i malarza Jerzego Kaczmarka z Wróblewa. Twórcy temu BWA w Sieradzu w swej Galerii

Sztuki urządził z okazji II Festynu retrospektywną wystawę Jerzy Kaczmarek, Sieradzki rzeźbiarz ludowy, w pełni na to zasłużył.

W województwie sieradzkim rozwija działalność wiele zespołów folklorystycznych, legitymujących się bogatą tradycją i poważnym dorobkiem artystycznym, z którym w parze idzie rozgłos w kraju. I tu na pierwszym miejscu należy wymienić Zespół Pieśni i Tańca „Dobroń”. Są też zespoły, które powstały niedawno, często nieopierając się na tradycjach i autentyczności ludowości Sieradzkiego folkloru. Cechuje je bezpretensjonalność, bo ich pieśni i muzyka mają „swoje źródło w tradycji ludowej. Nierzadko zespoły te skupiają przedstawicieli wszystkich pokoleń wsi, które w harmonijnym współdziałaniu przyczyniają się do rozwoju kultury w swym środowisku. W zespołach panuje wspaniała atmosfera, zaufanie i przyjacielskie więzi, które umacniają miłośników śpiewu, muzyki i tańca w ich kulturalnych aspiracjach.

Program II Festynu Sztuki Ludowej i Folkloru Województwa Sieradzkiego jest bogaty i urozmaicony. W koncercie galowym wystąpi między innymi Zespół Pieśni i Tańca „Opole”. W pierwszym dniu Festynu rozpocznie się II Sieradzki Plener Plastyczny, w którym weźmie udział liczna grupa malarzy i grafików z kraju. Przez następne dwa dni na Placu Świerczewskiego trwać będzie „Cepeliada”, na której zademonstrują swój dorobek twórcy ludowi, czynne będą stoiska „Cepelli”. Koncerty zespołów folklorystycznych, „Wesoly autobus”, targ antyków, wystawy — to tylko niektóre ważniejsze hasła tematyczne II Festynu.

FELIKS RAJCZAK

INFORMACJE

Ciekawa wystawa we Wrocławiu

Historię rozwoju polskiej fotografii artystycznej na przykładzie prac najznakomitszych jej twórców ukazuje wystawa „Polska fotografia artystyczna do roku 1939” czynna w Muzeum Narodowym we Wrocławiu i zorganizowana ze zbiorów własnych tej placówki. Ekspozycja obejmuje ok. 250 prac 28 autorów — wśród nich J. Bulhaka, B. Dorysa, M. Derki, E. Osterloffa i innych.

Malarstwo Jonasza Sterna

W Muzeum Mikołaja Kopernika we Fromborku otwarta została wystawa malarstwa jednego z najwybitniejszych malarzy współczesnych — Jonasza Sterna. Artysta należy do przedwojennej awangardy politycznej zaangażowanej i był współzałożycielem „Grupy Krakowskiej”. Do obrazów powstałych w ostatnim okresie Stern włącza elementy ze świata organicznego, które wzbudzały dramatyczne skojarzenia. Jest to artystyczne przetworzenie wojennych przeżyć artysty.

W Sopocie rozdzielono nagrody

Sądy konkursowe obu przeglądów punktowanych w ramach Festiwalu Interwizji w Sopocie rozdzieliły nagrody dla najlepszych wśród 50 wykonawców uczestniczących w tegorocznej imprezie.

W konkursie Interwizji, w którym honorowano walory piosenek, Grand Prix zdobył utwór muzyczny Jindřicha Grabeca ze słowami Jirzego Apla, „Malowany dzbanek”, który śpiewała reprezentantka telewizji czechosłowackiej — Helena Vondracková.

Pierwszą nagrodą wyróżniono utwór „Un cuento” z muzyką Toncho Ruseva i słowami Remberta Equesa wykonany przez piosenkarkę z Kuby Marię Farrah.

W konkursie wytwórni płytowych, w którym oceniano walory wykonawców piosenkarzy, Grand Prix de Disque przyznano Zdzisławie Sońkiewicz. Pierwsze miejsce zdobyła turecka piosenkarka Alya Algan, drugie zespół „Lips” z Wielkiej Brytanii, a trzecie Maria Cristina Martinez z Kuby.

Nagrodami specjalnymi przewodniczącego Komitetu d.s. Radia i Telewizji wyróżniono duet Rosa Rimbajewa i Władimir Migula ze Związku Radzieckiego i Jose Veleza z Hiszpanii.

Fotoreporterzy akredytowani przy Festiwalu Interwizji mianem „Miss obiektywu” wyróżnili piosenkarkę Rumunii Angele Similea, a dziennikarce swoje wyróżnienie przyznali Luisowi Pedro Ferrer z Kuby.

Nowe bajki dla dorosłych

Na jesienny sezon przygotowano 12 nowych „Bajek dla dorosłych” autorstwa trójki satyryków: Joanny Willifskiej, Feliksa Dereckiego i Andrzeja Nowickiego.

W nowym cyklu oprócz dotychczasowych bohaterów, autorzy wprowadzają kilka nowych postaci m. in. „Króla Peletona” w wykonaniu Mieczysława Pawikowskiego i „Księżniczkę Marcepana” w wykonaniu Bożeny Dykiel.

Polacy w australijskim konkursie pianistycznym

W Sydney zakończył się międzynarodowy konkurs pianistyczny, zorganizowany po raz pierwszy na tym kontynencie. Wpłynęło nań 150 zgłoszeń, ostra selekcja dopuściła do startu 33 kandydatów, wśród których znaleźli się czterej Polacy: Paweł Chęciński doszedł do III etapu.

Trzy z sześciu nagród w Sydney zdobyły pianistki radzieckie: I miejsce Irina Plotnikowa, II miejsce Swietłana Nawasardian, VI miejsce Mariana Doidzaszwili. W środku laureatów uplasowali się przedstawiciele Kanady, USA i Anglii.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny) RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREIDLICH, WIESŁAW JAZDZYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego) JERZY WILMAŃSKI, (sekretarz redakcji) Stałe współpracują: ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGO RZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMANSKI-GLANC.

BELCHATÓW

JANUSZ URBAN jest sympatycznym, trochę piegopatym blondynem. Lubi grać na gitarze, czytać książki i rozwiązywać szarady. A jeszcze bardziej układać je. Ze swoją jasną twarzą nawet nieźle pasuje do tych wielkich, żółtawo-białych piasków Rogowca. O, taki „piaskowy chłopiec”, który wszedł w tę ziemię śmiało i szybko zrosił się z nią.

W portfelu nosi legitymację z numerem 1000. Nadało mu ją w dniu 29 czerwca 1977 roku Plenum Komitetu Zakładowego PZPR Zagłębia Górniczo-Energetycznego „Belchatów”.

W historii Belchatowa będą zapewne fakty donioślejszej rangi. Jak choćby uruchomienie pierwszej gigantycznej koparki, pierwsza tona węgla, pierwszy prąd. Ale wielkie tryumfy tworzą się z sukcesów poszczególnych jednostek. Liczy, jakie obliczenia będą elektronicznie księgowi we wznoszonych właśnie biurkach, szybko staną się nieczytelne dla zwykłego budowniczego Zagłębia, wciąż ogromniejszą abstrakcją, powtarzalną, zrównującą każdy kolejny dzień z następnym i każdą kolejną godzinę.

Liczba 1000 w legitymacji partyjnej pozostanie dla Janusza Urbana, 26-letniego dziś technika budowy dróg i mostów w Przedsiębiorstwie Budowy Elektrowni „Energoblok”, konkretnym wywołującym zawsze żywe wspomnienie.

— Pamiętasz, — powie kiedyś do żony, gdy już będą razem w nowym belchatowskim mieszkaniu — wręczyli mi ją w moim drugim roku na budowie. Na tym samym plenum dyrektorzy skakali sobie trochę do oczu. A jesienią dostaliśmy mieszkanie...

Janusz Urban pochodzi z Jarosławia. Sześć lat wędruje po różnych budowlach. Pracował w Bieszczadach, w Lubinie i Rudnej — w kopalniach miedzi O Belchatowie przeczytał w gazecie. — Kiedy w marcu 1976 roku przyjechałem do Belchatowa — opowiada — pierwsze kroki skierowałem do dyrekcji kopalni przy ul. Armii Czerwonej. Wtedy więcej mówiło się o kopalni. Biura „Energobloku” były nieco w tyle. Górnicy zaczęli przecieć o 3 lata wcześniej niż my tu, w „Energobloku”.

W kopalni był Urban sztygarem zmianowym. Pracował w Piaskach, na odkrywcę. Budował drogę. We wrześniu 1976 roku przeniósł się do elektrowni, bo jak powiada „nigdy nie czuł się górnikiem”.

FRONT JANUSZA

Zastąpiłem go w parterowym budynku kierownictwa Wielkiej Budowy Rogowiec-Elektrownia (KB-2). Rozmawiamy w małym pokoiku ZSMP, zagraconym kaskami i waciami. Na ścianie wiszą wielkie, niebieskie plany. Plany i kaski są tu wszędzie i zawsze pod ręką, w gabinetach dyrektorów, pokojach kierowników, w szatniach robotników. Dowód, że tutaj — w elektrowni — dopiero się wszystko zaczyna.

Wrażenie to pogłębia się, kiedy jedzie się w tumanach pyłu przez tę zamkniętą z czterech stron ścianą gośnowego lasu równinę, pociętą głębokimi wykopami, porożniętą ciężkimi maszynami, z wolną uzbieraną w żelbetonowe konstrukcje.

Buduje się tu fundamenty elektrowni dąży w głębokim, syplik piasku studnie i zalewa je betonem, wprowadza w ziemię tysiące metrów instalacji, rur i przewodów.

To właśnie front Janusza. — Przeważnie przygotowanie techniczne budowy żelbetonowego kolektora, odwadniającego elektrownie ze ścieków przemysłowych i sanitarnych — mówi.

Przyglądam się, jak na betonowym podłożu kładą te wielkie rury o średnicy 1,6 metra. Po drugiej stronie drogi wśród sosen stoi 16 różnokolorowych silosów. Stamtąd właśnie przywożą beton.

— „Unikop” nawalił. Wysiadło sprzęgło — melduje Januszowi operator koparki przerobionej na dźwig.

Dobrze, że to tylko sprzęgło, nie będzie długiego przestoju. Roboty miają już odcinek, na którym idący z elektrowni kolektor skręca pod kątem prostym i biegnie dalej do oddalonej o kilometr oczyszczalni ścieków. W elektrowni kolektor rozdwoi się, dojdzie do niego wiele bocznych dopływów. Objeździe betonowym pierścieniem całą elektrownię.

— Kłopoty sprawia nie woda opadająca, lecz zaskórna — mówi Janusz. — Ta, która stoi w glinie pod przepuszczalną warstwą piasku, a kiedy kopiemy niżej zalewa wykop. Choć po ostatnich deszczach zamuliło nam mniejszy kolektor o średnicy 1,20 m, budowany bliżej elektrowni. Było dużo roboty z oczyszczeniem rurociągu z błota.

W brygadzie na odcinku majstra Romana Latonia, zwycięży konkursu na „Najlepszego Mistrza i Wychowawcę”, średnia wieku nie przekracza 25 lat. Na 50 ludzi 42 jest w ZSMP. Większość z nich to monterzy instalacji, którzy świeżo po szkole odbywają zawodową praktykę pod okiem trzech mistrzów.

Janusz Urban, który na jednym z odcinków zastępuje kolega, należy już tu do „starych”. Zna dobrze ko-

palnię i elektrownię. Sam decyduje co trzeba mi pokazać. A więc przede wszystkim... żonę. Poznali się w kopalni w Lubinie, gdzie ona pracowała w Przedsiębiorstwie Drogowym. Pobrali się już w Belchatowie. Teraz ona pracuje w Dziale Przygotowania Produkcji. Robota tu „papierkowa”: dokumentacja, protokoły, naniesienia, ale lubi ją.

FUNDAMENTY

Dzięki Januszowi poznaję inż. Andrzeja Wysockiego z Kierownictwa Budowy Obiektów Ogólnoelektrownianych, który prowadzi budowę fundamentów pod pierwszy z dwóch wielkich, 300-metrowych kominów.

TOMASZ SOLDENHOFF

LEGITYMACJA NR 1000



Foto: W. Kraska

Wysocki, oficjalnie zastępca kierownika, rozkłada na stole „Plan ogólny realizowania elektrowni „Belchatów I”. Jej najważniejsze obiekty to: budynek główny, 2 komin, 6 chłodziń kominowych, 12 bloków energetycznych, warsztaty i budynki zaplecza socjalnego oraz biurowe.

Jeden komin będzie obsługiwał 6 bloków energetycznych. Będzie on miał średnicę 70 metrów, pochłonie 21 tys. m sześć, betonu i ponad 1700 ton stali zbrojeniowej.

— Co czeka ludzi pracujących na tej budowie? — pytam.

— Na razie przy pracach ziemnych zajęte były głównie maszyny. Ludzie wykonywali podjazdy i inne prace pomocnicze. Najcięższa robota czeka dopiero zbrojarzy. Przy betonowaniu pompa (zagręszająca beton przy pomocy wibratora) pracować będzie dzień i noc 45 ludzi, na 3 zmiany.

15 listopada fundament ma być ukończony. Dalsi wykonawcy zbudują urządzenia ochronne, osadzą trzon kolumny, wymagają mocnych, lukowanych stropów. W końcu grudnia wejdzie na plac „Piecobudowa”, aby wykonać „plaszcz” 300-metrowego kolumny.

Na budowie problemy są dwa. Pierwszy z fachowcami, a właściwie z brakiem dobrych rzemieślników. W 40 proc. wywodzą się robotnicy z okolicznej, wiejskiej ludności. Część z nich ma nawet jeszcze gospodarki. Zanim pierwsze roczniki opuszczą szkołę przyzakładową, szkolenie prowadzi się metodą orzucywania. Ale jak majster nie pokaże, robota nie ruszy...

Problem drugi z zabezpieczeniem w kruszywo i w ogóle w materiałach budowlanych. W „Energobloku” są trudności ze środkami transportu. A przy kominach, obiektach wysokich, ciągłość dowozu betonu, choćby tylko ze względu na bezpieczeństwo, musi być zachowana. Brakuje na miejscu grubego kruszywa. Trzeba je sprowadzać aż spod Wrocławia.

Elementem unowocześniającym technologię budowy rogowieckiej elektrowni są estakady w budynku głównym. Dzięki nim powstaną dwa nie-

wszystkie oczy zwrócone są na kopalnię. Koparka-kołos pięknie wygląda, ale najcięższa robota będzie u nas. Jak przyjdzie betonować, będziemy spać na budowie. Nastąpi i dla nas gorący czas...

W PIASEK JAK W MASŁO

Wszystkie oczy zwrócone są na kopalnię. Koparka-kołos pięknie wygląda, ale najcięższa robota będzie u nas. Jak przyjdzie betonować, będziemy spać na budowie. Nastąpi i dla nas gorący czas...

Nie umiano mi powiedzieć dokładnie, jaki teren zajmuje budowa elektrowni. Ostatnio znowu się on powiększył o place nawęglania i miejsce pod zaplecza. Janusz Urban szacuje w sumie na 12 kilometrów kwadratowych.

Budowę budynku głównego dobrze widać ze wzniesionych już pomostów, pod którymi w przyszłym układzie dwupoziomym, przebiegać będą prace nad fundamentami. Głębokie,

wszystkie oczy zwrócone są na kopalnię. Koparka-kołos pięknie wygląda, ale najcięższa robota będzie u nas. Jak przyjdzie betonować, będziemy spać na budowie. Nastąpi i dla nas gorący czas...

Inżynier Wysocki w tym miejscu „wywołał” niejako koparkę. A być w Belchatowie i nie zobaczyć gigantycznej koparki, to trochę tak, jak być w Rzymie i nie ujrzeć papieża. Przyjeżdżają do niej zresztą z całego kraju wycieczki.

Trzeba wrócić na krzyżówkę, skąd rozchodzą się drogi: na prawo do elektrowni, na lewo do kopalni. Na

Wykonawstwa Własnego Kopalni „Belchatów” Kierownik Działu inż. Czesław Rupieta (poprzednio 18 lat na odkrywcę w Tarnobrzegu) mówi:

— Wierceniem studni, których w sumie będzie 280, zajmuje się Kombinat Geologiczny Południe — Zakład Robót Wiertniczych w Krakowie. Na podstawie wcześniejszych badań mamy pełne rozeznanie, co i gdzie znajduje się tutaj pod ziemią. Nie przewidujemy zatem większych niespodzianek.

— Ale trzeba już szykować się na przyjęcie drugiego układu K-T-Z. Przedstawiciele firmy „Krupp Industrie und Stahlbau GmbH” wraz ze specjalistami z warszawskiego „Mostostalu” rozpoczęli już montaż drugiej koparki-kołosa.

— Stopniowo obniżamy poziom wody. Pracująca koparka jest na 14 metrach, a woda już na 60 metrach głębokości. Musimy bowiem obniżyć poziom z rocznym wyprzedzeniem — mówi inż. Rupieta.

Po prawej stronie, na stoku wykopu, widać sporą plamę... — Zdarzają się takie wylewy niewielkich, zawieszonych w piasku wód. Ale opady nie mają wpływu na pracę koparki. Woda powoli przesącza się do kłębsz ze studni głębinowych.

Operatorami koparki są byli pracownicy Adamowa, Turowsza, Konina, mający wieloletni staż w górnictwie. Koparkę obsługują służby eksploatacyjne z Zakładu Wykonawstwa Własnego KWB „Belchatów”, najlepsi fachowcy przeszkoleni za granicą i na praktykach u warszawskich „mostostalowców”.

Koło czerpakowe przesuwają się zaskakująco szybko po stoku, jakieś 30 do przodu, po czym wraca, obniża się i robi drugi frez, biorąc lekko drugą warstwę piasku.

— Co to jest za przeszkoda dla koparki — taki piaseczek, — uśmiecha się inżynier. — Koło wchodzi jak w masło...

NA SWOIM

— Kiedyś — mówi Janusz Urban w drodze z kopalni do domu — będzie z naszego Belchatowa wielkie miasto. Kina, teatry... A gdy Janusz tak marzy przypominam sobie rozmowę w gabinecie inż. Andrzeja Wysockiego. Inżynier jest już po 30-tych, przyszedł do Rogowca z odlewni żeliwa w Hucie Katowice. Jego zona pracuje w „budowlance”, w „Energobloku”. Mają dziecko i mieszkanie. Wysocki tak powiada o sobie:

— Ja jestem wiatrem podsztyty, ale przyzwyczaiłem się już do wędrowki. Na pewno jednak prąd będzie w Belchatowie oglądał... A potem wspomina:

— Kiedy przyjechałem tu pierwszy raz, przeraziłem się. Na ulicy o każdej porze dnia te same twarze. Wszystko czego się potrzebuje do życia było na tych czterech ulicach. I to koniec. Z ulic szło się do domu.

— Urbanowie mieszkają jeszcze na służbowej kwaterze. Wcześniej Janusz miał pokój w kopalnianym hotelu nr 1. — Bardzo tam było przyjemnie — wspomina — Świetlica, bilard, ping-pong, telewizor, łaźnia, natrysk...

Inżynier Wysocki: — Belchatów był nieuzbrojony. Bez gazu, kanalizacji, wodociągów. Teraz ruszyło się potężnie, miasto rozkopane.

A żona Janusza dodaje: — Nawet sporo jest sklepów. Tylko usług za mało. Brakuje pralni chemicznej, nie ma gdzie wyczyścić odzieży...

— ...no i ośrodków sportowych za mało — wzdycha Janusz. — Choć mamy już gdzie pójść się pobawić.

Do klubu „Pod kielnią” — chluby młodych budowlanych z Belchatowa, przerobionej z kotłowni w społecznym czynie, zaprowadził mnie działacz z Zarządu Zakładowego ZSMP.

W klubie sporo miejsca, malowidła, gustowne stolczki i barek z wysokogatunkowym alkoholem. Trzy razy na tydzień „disco”.

Janusz, który od 11 lat działa w młodzieżowej organizacji jest wiceprzewodniczącym Koła ZSMP w Przedsiębiorstwie Budowy Elektrowni „Energoblok”. Koło liczy sobie ponad 40 członków, tworzy Brygadę Pracy Socjalistycznej. Janusz ma za sobą 5 lat nauki w klasie fortepianu. Całkiem poważnie myśli o założeniu zespołu, a może i kabaretu. Wierzy, że wyłowi z budowy ludzi, którzy napiszą o niej teksty. Chce także stworzyć Koło Fotograficzne. Z radością opowiada o jednym z członków „swojego” Koła ZSMP, brygadziście Henryku Czajńskim, który w „Olimpiadzie Wiedzy o Polsce i świecie współczesnym” zajął na szczeblu miejskim II miejsce.

W żółtym jak kurczak domku przy ul. 1 Maja 43 w Belchatowie. Urbanowie zajmują piętro: kuchnię i pokój z balkonem. W środku żelazny piecyk na węgiel i grzyb na suficie, przysłonięty dużą reprodukcją fotografii warszawskich Łazienek. Na budowie elektrowni przyjęto zasadę, że nowe mieszkania w pierwszej kolejności otrzymują pracownicy ze stażem nie mniejszym niż półtora roku.

Wypada więc, że jesienią Urbanowie będą wreszcie „na swoim”.

WITOLD NAWROCKI

WSPÓŁCZESNA POWIEŚĆ POLITYCZNA

Najpierw kwestia terminologiczna: powieść polityczna czy powieść o polityce. Rozróżnienie takie wprowadził Kazimierz Wyka¹⁾ w „Pograniczu powieści” rozumiejąc przez „powieść polityczną” utwór, w którym „życie polityki styka się z codziennym życiem prostego człowieka”, przedstawiający „sprawy polityczne” wywołane zdarzeniem wyższych rąk politycznych z życiem i dążeniami „prostego człowieka”, a przez „powieść o polityce” dzieło epickie, opowiadające to wszystko, co może być widziane z góry, z „odgórnej” pozycji obserwacyjnej. Szczegółowo tę kontrowersję terminologiczną omówił i skomentował Jerzy Ziomek²⁾, trafnie zwracając m. in. uwagę, że „gdymy rozpatrywać powieść z punktu widzenia jej genezy i jej odbioru, trudno by było znaleźć w ogóle powieść niepolityczną³⁾”. Powieść polityczna — jak rozumie ją Jerzy Ziomek — „jest powieścią o „mandarynach”, związaną tematycznie z wielkimi wydarzeniami historycznymi⁴⁾”. Najistotniejsze cechy powieści politycznej Ziomek związał z problematyką alienacyjną, traktując „dezintegrację społeczeństwa i anonimizację władzy” jako główny problem literatury XX wieku. Zasadniczym tedy problemem powieści politycznej staje się według Ziomeka „stosunek struktury świata przedstawionego do rzeczywistej struktury społecznej” oraz „pytanie o stosunek osobowości prywatnej do osobowości polityczno-historycznej⁵⁾”.

Propozycja Jerzego Ziomeka — jak trafnie zauważył Arkadiusz Myszowski⁶⁾ — jest rozwinięciem koncepcji Kazimierza Wyki i równocześnie próbą likwidacji zarysowanej przez autora „Pogranicza powieści” dychotomii; powieść polityczna miała przedstawiać rządzących, tyle że z podkreśleniem ich związku ze społeczeństwem stanowiącym przedmiot władzy. Jerzy Ziomek, pozostając na gruncie indywidualistycznej teorii deformujących zagadnienie alienacji, przyjmował za pewnik, że kluczowym problemem stulecia jest postępujący rozpad więzi międzyludzkich oraz osamotnienie jednostki w niezrozumiałym świecie, obcym jej i wrogim. W ten sposób z pola jego uwagi uchodził generalny problem epoki: polityczna walka o przewyższenie skutków oddziaływania mechanizmów alienacyjnych oraz o realizację marksowskiej „spółnoty ludzi”, co uczynił swym zagadnieniem komunistyczny ruch robotniczy⁷⁾. Gdyby nie odniesienie do „wielkich wydarzeń historycznych”, można by mniemać, iż wedle definicji Jerzego Ziomeka najwybitniejszym utworem politycznym XX wieku jest „Zamek” Franza Kafki, bo w tym utworze „dezintegracja społeczeństwa” oraz „anonimizacja władzy” osiągnęły rzeczywiście wysokie napięcie. Podobnie jak w parabolicznej i moalitycznej prozie rachunkowej po październiku, przenoszącej pytania o stosunek jednostki do historii, o koherencję losu

jednostki i dziejów, o sens procesu dziejowego poza konkretną historię, w sferę moralistycznej utopii.

Dyskusja o perspektywach powieści politycznej, przeprowadzona w 1984 roku w redakcji „Życia Literackiego” przy współudziale m. in. Włodzimierza Maciąga, Konstantego Grzybowskiego, Władysława Machajki i innych, wypunktowała brak związków pomiędzy powieścią polityczną a konkretnym procesem historycznym jako jeden z istotniejszych mankamentów jej rozwoju. Także i to, że powieść polityczna ukazuje zwykle bohatera i świadomość ludzką „poniżej idej, na drugim miejscu, człowiek nie jest twórcą świata, tylko wykonawcą nadrzędnych poleceń, człowiek może być tylko wierny lub niewierny, posłuszny albo nieposłuszny, człowiek może mieć albo nie mieć wątpliwości sumienia — ale człowiek nigdy nie czuje się wartością nadrzędną, tylko podrzędną, uzależnioną, zawiśnię od niezależnej od siebie konieczności⁸⁾”. W tym stwierdzeniu Włodzimierz Maciąg zawarł istotny i filozoficznie decydujący zarzut: powieść polityczna nie wyzwoliła się jeszcze z okowów dogmatyzmu, ciętle jeszcze pozostawała w magli myślenia o „żelaznych prawach historii”, nie pojęła do końca marksowskiej tezy o człowieku jako podmiocie historii, o znaczeniu jego aktywności, o nieustannym rozszerzaniu granic wolności ludzkiej w solidarnej i ideowej wspólnotce. Dyskusja zwracała również uwagę na to, że powieść polityczna w zasadzie zawsze będzie powieścią o władzy, ale — jak mówił Konstanty Grzybowski — „władza to koncepcja i jej „ogólna” realizacja, a nie mniej lub więcej bierne „wykonywanie koncepcji”. Czyli władza: to problem centralnego kierownictwa państwem⁹⁾, problem kryzysu ideologii w procesie realizacji (kryzys a nie katastrofa) jako zagadnienie polityczne a nie z dziedziny psychopatologii czy moralistyki, problem odpowiedzialności, bo wolność rodzi wzmoczoną odpowiedzialność, wreszcie sprawa historycznej sprzeczności pomiędzy interesem indywidualnym a zbiorowym.

Dyskusja prowadzona w „Życiu Literackim” zwracała uwagę, iż niejednolicie rozumiany i wąsko lub szeroko definiowany termin „polityka” nie może uwzględnić podziału na rządzących i rządzących, jeśli rozumieć przez nią złożoną dziedzinę działalności ludzkiej wyrażającą się dążeniem do uzyskania przez jednostkę lub grupę władzy, sprawowanie jej w imię określonego programu i przy pomocy wszystkich dostępnych środków, jakie oferuje państwo, organizowanie mas do uczestnictwa we wszystkich formach działań grupowych, walkę o utrzymanie władzy poprzez walkę z konkurencyjnymi grupami, wyrażającą się konfliktami, ale również kompromisem, porozumieniem czy sojuszem. Półka jest bowiem zwiastwiskiem operującym się na swoistym sprzę-

niu zwrotnym pomiędzy ośrodkiem sprawującym władzę a ludźmi podległymi: panuje się w interesie mas lub przeciwko temu interesowi, za zgodą rządzących i wbrew ich woli, co każe uwzględniać nie tylko postacie różnych konfliktów na linii ośrodek dyspozycyjny i dysponowana zbiorowość, ale również na płaszczyźnie kolizji interesów grupy społecznej i jej politycznej reprezentacji.

Rzecz oczywista, iż dla pisarza marksisty najważniejszym zagadnieniem będzie problem politycznej aktywności mas, wyrażającej się między innymi dążeniem do ukształtowania rzeczywistej harmonii między rozwojem osobowym jednostek a rozwojem wspólnoty poprzez stworzenie możliwości aktywnego i odpowiedzialnego wpływania jednostek na życie zbiorowości i wytworzenie przez nią wartości. Istotną rolę w tym względzie przypisywał Marks zbiorowej kontroli jednostek nad wszystkimi przejawami życia wspólnoty. „Wszelkstronna zależność, żywiołowo powstała forma światowodziejowego współdziałania jednostek, zostaje przez tę komunistyczną rewolucję przeobrażona w kontrolę i świadome panowanie nad siłami, które, zrodzone z oddziaływania ludzi na siebie, narzucały im się dotąd, jako absolutnie obce im siły i panowały nad nimi”. Z tego też względu osobowym wzorem człowieka przyszłości jest dla marksizmu człowiek uspołeczniony, zaangażowany, zdyscyplinowany, przyjmujący na siebie odpowiedzialność za los wspólnoty. Człowiek polityczny w znaczeniu: wolny, znoszący poprzez budowę nowej wspólnoty więzi uzależniające go i udaremniające mu twórczą aktywność w wszystkich możliwych płaszczyznach życia.

Postulat ukazania zróżnicowanego i jak najbogatszego mechanizmu politycznego w konkretnym, sprzecywanym miejscu i czasie stał się w latach sześćdziesiątych integralną częścią świadomości polskiej krytyki literackiej o marksistowskiej orientacji i niewątpliwie wpłynął konstytuującą na ukształtowanie — jak dotąd najdojrzałej i najobszerniejszej — koncepcji teoretycznej powieści politycznej, która powstała dzięki Annie Bukowskiej¹⁰⁾. Przeciwnością jest mitologizacyjny konceptem deformującym zagadnienie alienacji bądź to na gruncie psychologizmu, bądź indywidualizmu, Bukowska akcentowała, iż powieść polityczna musi być organicznie związana z realiami opisywanych zjawisk. Tym samym z pola rozważań zdołała autorka usunąć prozę paraboliczną o ambiwalentnych uniwersalistycznych, aktualizujących się politycznie dopiero w konkretnej sytuacji, np. „Ciemności kryją ziemię” Jerzego Andrzejewskiego i to zresztą przede wszystkim w warstwie filozoficznej i historiozoficznej. Paraboliczno-moralistyczna konstrukcja powieściowa rozmiąta się z koncepcją polityki jako indywidualnej lub zbiorowej interakcji w konkretnych warunkach i wyrażeniu zdefiniowanym celu.

Anna Bukowska zaprezentowała również pierwszą próbę systematyzacji i typologii gatunku, wyróżniając:

- * powieść polityczną zajmującą się „kuchnią i alkwą” życia politycznego, ośrodkiem dyspozycyjnym decydującym o strategii i taktyce ruchu politycznego oraz metodach działania;
- * powieść polityczną akcentującą praktykę działania w konkretnej rzeczywistości społecznej zgodnie z przyjętym programem, ukazującą działaczy poniżej ośrodka dyspozycyjnego i skalę ich odpowiedzialności za skuteczność realizacji założeń taktycznych;
- * powieść polityczną ukazującą konsekwencje społeczne danej polityki i jej wpływ na indywidualne losy ludzkie, ukazująca bohatera, który jest przedmiotem gry politycznej, zbliżona do konwencji powieści społeczno-obyczajowej.

Jest to próba typologiczna wyrażająca się w bardzo pragmatycznych wyobrażeniach o polityce; zbudowane one zostały wedle następującego schematu funkcjonowania polityki: programujący ośrodek dyspozycyjny, stanowiący podmiotowo o kształcie programu i linii politycznej, odpowiedzialna grupa wykonawców i wreszcie jednostka ludzka jako przedmiot działalności i gry politycznej. W takim układzie najbardziej interesująca będzie powieść o „mandarynach”, prezentująca „widzenie z góry” i odkrywająca tajemnice sprawowania władzy przez wąską reszptę rządzących: opierać się ona będzie na indywidualistycznym widzeniu historii (stalinowskim lub anarchicznym), a zbiorowość przedstawiać będzie jako plastyczną glinę urabianą rękami olbrzymów, szatantów lub aniołów. Konflikty polityczne rodzić się będą wówczas, kiedy nieposłuszni lub nieodpowiedzialni pośrednicy krywd będą linię programową, albo też „nieodjrzał” mas nie pozwolił się manipulować dobroczynnym przywódcem. W tej koncepcji nie ma miejsca na ukazanie sposobu zaamywania się refleksji programu politycznego w świadomości mas, na ukazanie źródeł konfliktów pomiędzy programem centralnym a wizją swego losu, jaki posiadają masy.

Rzecz bowiem w tym, iż typologia Bukowskiej opiera się na koncepcji redukcjonistycznej wobec marksistowskiej koncepcji roli mas, klas, ich partii. Masy nie są biernym zespołem ludzi, którzy mają być zbawieni przez wyobcowany ośrodek kierowniczy; masy indywidualistycznym porwysem dyktatorów i zbawicieli przedstawiają poczucie odpowiedzialności, dyscypliny i własną świadomość celów i środków emancypacji człowieka i zbiorowości. Masy pamiętają z III Tezy o Feuerbachu nie tylko, że „ludzie są wytworami warunków i wychowania”, ale również i to, że „warunki są zmieniane przez ludzi i że sam wychowawca musi być wychowany”. To znaczy, że w procesie rewolucyjnej praktyki przemian podlegają ludzie na obu biegunach: rządzeni i rządzący i że inspiracja zmiany może wychodzić także z inicjatywy oddolnej, jeśli program przestaje masom odpowiadać i wydaje się im niedostateczny lub konserwatywny. Literatura polska przekonywała się o tym wielokrotnie w ostatnich latach, iż jednostka ludzka nie może

być redukowana do „wynadkowej” roli społecznych lub traktowana jedynie jako „efekt struktury”, jak pisze Albusser i Balbar w książce „Czytając Kapital”; oznacza to bowiem odebranie jednostce cech podmiotowości, a człowiek — jakisał Karol Marks — jest „jedynym rzeczywistym podmiotem historii”. Człowiek nie może być zredukowany do roli „nieświadomego realizatora wzorów działania „zakodowanych” w języku, obyczaju, wymogach struktury społecznych; człowiek tworzy kody i wzory artyku... społecznej w praktyce i w praktyce społecznej je zmienia lub znosi.

Potrzeba nowej typologii powieści politycznej nie może być również sprowadzona — jak chce Arkadiusz Myszowski¹²⁾ — do dokonania jej klasyfikacji z punktu widzenia odbiorcy. Mroczkowski chce definiować powieść polityczną jako „tekst w formie powieściowej, który w momencie swego ukazania się spełnia funkcję komentarza wobec określonych faktów działalności politycznej, znanych aktualnie odbiorcom¹³⁾”. Klasyfikowanie tego, co polityczne odbywałoby się w procesie badania recepcji, uwzględniającej ich różnorodność oraz rozmaite kompetencje wobec literatury i wobec polityki. Nowa metoda odczytania elementów „polityczności” miała być zatem sk „yżowaniem immanentnej krytyki tekstu oraz badania jego konkretyzacji czytelnickiej, co przy całej atrakcyjności propozycji wydaje się niesłychanie trudne w realizacji badawczej i w zasadzie pozostać musi tylko w sferze teoretycznych postulatów.

W nowej propozycji typologicznej — jak wnosić należy z marksistowskiej koncepcji rozwoju społecznego i podmiotowej roli jednostki — uwzględniać należy przede wszystkim problematykę działalności politycznej, funkcjonowania mechanizmu politycznego w taki sposób, by ukazać wpływ politycznych programów na masy oraz przeobrażenia dokonujące się w ich „świadomości” i w świadomości grupy kierowniczej, by ujawnić skomplikowaną dialektykę stosunków: przywódcy i masy, ukazać los społeczno-polityczny szerokich rzesz ludzkich i artykułując ich dążenia oraz żądań, kolizję pomiędzy zbiorowością a grupami kierowniczymi. Nie można bowiem zapominać iż w swej podstawie marksizm jest koncepcją indywidualistyczną i traktowanie całej zbiorowości jako jednolitego podmiotu społecznego zawsze uważali klasycy za błąd w myśleniu.

- (Dokończenie w następnym numerze).
1. Kazimierz Wyka: Pogranicze powieści. Kraków 1948, s. 235.
 2. Jerzy Ziomek: Powieść polityczna — powieść o polityce. W: „Pamiętnik Literacki” 1964, s. 4.
 3. tamże s. 351.
 4. tamże s. 351.
 5. tamże s. 355.
 6. Arkadiusz Myszowski: Powieść polityczna. W: „Miesięcznik Literacki” 1976, nr 10.
 7. Por. Witold Nawrocki: Klasa — ideologia — literatura. Poznań 1976.
 8. Dyskusja: Perspektywy powieści politycznej. W: „Życie Literackie” 1964, nr 678, s. 5.
 9. tamże.
 10. Anna Bukowska: Drogi i manowce powieści politycznej. W: „Miesięcznik Literacki” 1968, nr 7, s. 30 i nast.
 11. op. cit. w przyp. 6.
 12. Antonio Gramsci: Pisma wybrane, Warszawa 1961, s. 191—192.

Tekst, który zamieszczamy w dziesiątym i następnym numerze „Odgłosów” jest przedrukem (za zgodą autora i redakcji) z „Trybuny Robotniczej” (maj, lipiec 1977), organu KW PZPR w Katowicach.

NIE TYLKO HISTORIA

STUDIA POLSKO-CZECHOSŁOWACKIE

Zbliża się termin kolejnego posiedzenia Polsko-Czechosłowackiej Komisji Historycznej, ciała zbiorowego, dyskutującego od lat z pozytywnym dla zainteresowanych badaczy zagadnienia naszych jakże wzajemnie ze sobą powiązanych dziejów. Tym razem wypadnie nam się spotkać na ziemi czeskiej; poprzednia konferencja miała miejsce we Wrocławiu, który przyjął nas nad wyraz gościnnie, teraz więc kolej na naszych sąsiadów. Ale działania Komisji — podobnie jak innych tego rodzaju ciał zbiorowych, powoływanych do życia przez Akademię Nauk krajów socjalistycznych w celu rozwinięcia wzajemnej naukowej współpracy i rozszerzenia badań — nie ograniczają się do obrad w zamkniętym sali i ograniczonym do zaproszonych specjalistów gronie zawodowych historyków. Komisja pragnie wyjść ze swymi pracami na zewnątrz, a czyni to publikacją rozpraw, przedstawianych na jej posiedzeniach, czy to na łamach fachowych czasopism, czy w osobnych

zbiorach studiów. Właśnie kilka polskich prac historycznych, przedyskutowanych podczas obrad Komisji, drukuje się w Czechach i na Słowacji. U nas natomiast pod redakcją aktualnego Przewodniczącego polskiej strony Komisji, wrocławskiego uczonego Romana Hecka, ukazał się (1976) tom zbiorowy, opatrzony tytułem: „Studia nad rozwojem narodowym Polaków, Czechów i Słowaków”, przynoszący pokłosie prac Komisji przedstawionych na pięciu posiedzeniach w latach 1969—1974, a poświęconych problematyce porównawczej i różnic procesów formowania się i rozwoju narodów polskiego, czeskiego i słowackiego oraz ich świadomości. Okoliczności niezależnie od woli redaktora, który jest człowiekiem znanym ze swojej operatywności, potrafiały — jak się to powiada — wyciągnąć nawet spod ziemi potrzebny tekst (wiem coś o tym z własnej praktyki!) sprawiły, że nie wszystkie z przedstawionych podczas obrad i przewidzianych do publikacji tekstów mogły się znaleźć

w tym wydawnictwie, w związku z czym może ono jedynie częściowo odwiercać rzeczywisty dorobek Komisji, zaprezentowany podczas kolejnych posiedzeń. Stąd pewne dysproporcje: gdy bowiem o rozwoju narodu polskiego i jego świadomości m. in. jest w sześciu tekstach, obejmujących czas od średniowiecza po współczesność, o analogicznych zagadnieniach w odniesieniu do historii narodu czeskiego — zasygnalizowanych w studium o wiekach średnich — pisze się w trzech pracach, traktujących o XIX i początkach XX w., zaś słowackiego — w studium obejmującym okres od końca XIX w. oraz dwóch tekstach, poświęconych historii po II Wojnie Światowej. Nie w pełni udało się więc zrealizować pierwotny zamiar zaprezentowania w jednym tomie zbioru prac, traktujących paralelnie o tych samych wielkich zagadnieniach dziejów trzech sąsiadujących ze sobą narodów. Najlepiej pod tym względem przedstawia się zagadnienie emigracji zarobkowej z końca

XIX i początku XX w., będące ważnym problemem nie tylko dla dziejów Polski, ale również Czech i Słowacji, które też doczekało się porównawczego omówienia w trzech pracach odpowiednich specjalistów. Ale mimo wszelkich niedostatków otrzymaliśmy tom bardzo interesujący, złożony z wartościowych tekstów naukowych. Zarówno otwierająca tom praca Romana Hecka o rozwoju polskiej i czeskiej świadomości narodowej w wiekach średnich, jak szkice Janusza Tazbira o polskiej świadomości narodowej w XVI — XVIII w., Tadeusza Lepkowskiego o narodzie polskim w okresie rozbiorowym, Halny Janowskiej o polskiej emigracji zarobkowej i Hanny Jedruszczak o przemianach społecznych w Polsce Ludowej (do 1960 r.), są to wszystkie studia, łączące syntetyczność naukowego spojrzenia z bogactwem przemysłów i dokumentacji. To samo da się powiedzieć o pracach kolegów czeskich i słowackich, które ogłoszone tu zostały w swych macierzystych językach (wrocławskie Ossolineum pokazało przy okazji, że potrafi sobie doskonale radzić z drukiem tekstów czeskich i słowackich!). Miroslav Hroch zaprezentował więc interesujące studium o czynnikach rodzimych i obcych w czeskim ruchu narodowego odrodzenia w pierwszej

polowie XIX stulecia, Blanka Pitrova zajęła się zagadnieniem migracji, a rozwoju ludnościowego Czech w okresie kapitalizmu, wreszcie Andelin Grobelny przedstawił nam bardzo interesujący szkic o tym, jak ruch emigracyjny w poszukiwaniu chleba odzwierciedlał się w czeskiej prasie regionalnej. Odpowiednikiem polskiej i dwóch czeskich prac o zagadnieniach emigracji zarobkowej jest szkic słowackiej badaczki Eleny Jakeszowej o tych samych zagadnieniach na Słowacji, bogato dokumentowany archiwaliami słowackimi i wiedeńskimi. Całość tomu zamykają dwie prace badaczy słowackich, poświęcone problemom dziejów Słowacji po II Wojnie Światowej — Milošava Gosiorowskiego oraz Michała Barnovského. W sumie otrzymaliśmy całość — pomimo wszystkich niedostatków — bardzo interesującą i godziwą się ze zdaniem, wypowiedzianą na wstępie do tego tomu przez Romana Hecka, że będzie on z pewnością „pożyteczny i interesujący dla zawodowych historyków oraz polskich i czechosłowackich miłośników historii”. Oby dalsze prace Komisji przyniosły nam dalsze takie i inne, coraz bogatsze w treść tomy wartościowych studiów!

ANDRZEJ F. GRABSKI

FILM

W Łodzi i jej okolicach, a także w Warszawie i Nałęczowie wykonano zdjęcia do nowego polskiego filmu telewizyjnego pt. „SERCE SERC” w reżyserii Zygmunta Skoniecznego. Jest to biograficzny film fabularny o Bolesławie Prusie (Andrzej Żarnecki), który zapoczątkuje serię obrazów poświęconych sylwetkom literatury polskiej.

Tadeusz Boy-Zeleński zauważył słusznie, że Prus należy do „najszczerzej zakonspirowanych pisarzy”, jego biografia do dziś kryje wiele tajemnic nawet dla badaczy, gdyż autor „Lalki” świadomie unikał rozgłosu, toteż przekazy pamiętnikarskie o nim są wyjątkowo ubogie. Nie wiele też dowiadujemy się o pisarzu z jego listów. Ale nawet te niedostatki materiału dokumentalnego wskazują, że osobowość Prusa była niezwykle fascynująca, a w jego życiu osobistym kryło się wiele dramatów, które posłużyły jako tworzywo do scenariusza napisanego przez reżysera filmu wspólnie z Konradem Frejdllichem. Autorem zdjęć jest Zdzisław Kaczmarek.

W filmie występują znani aktorzy grający role postaci historycznych. Lucja Żarnecka odtwarza postać Oktawii Rodkiewiczowej-Zeromskiej, rolę Stefana Żeromskiego

SERCE SERC

FOTO. WITOLD JASTRZĘBSKI



Oktawia Rodkiewiczowa (Lucja Żarnecka) oraz Stefan Żeromski (Leonard Pietraszak) w drodze ze ślubu. (1)
Prus (Andrzej Żarnecki) pasjonował się nowinkami techniki, fotografował dla celów dokumentacyjnych. (2)
Scena z wesela Żeromskich. Na zdjęciu widoczny reżyser filmu Zygmunt Skonieczny. (3)

Ekipa zdjęciowa na planie (4)
Prus (Andrzej Żarnecki) w rozmowie z Majstrem zakładów Lilpola (Jan Tesarz), gdzie pisarz pracował w młodości jako robotnik. (5)

gra Leonard Pietraszak, a rolę Oktawii Głowackiej — Wanda Majer.

Fotogramy zaprezentowane w tym reportażu dotyczą głównie choć nie tylko, sceny ślubu Oktawii Rodkiewiczowej ze Stefanem Żeromskim, na którym świadkami byli Prus oraz prof. Florian Łagowski (Tadeusz Sabara). Ślub ten miał przebieg niecodzienny ponieważ Żeromski był poważnie chory i trzeba go było podtrzymywać podczas ceremonii. Po uroczystości zaślubin całe towarzystwo udało się bryczką do plebanii, gdzie podejmował je kolega Prusa z ławy szkolnej ks. Antoni Grudziński. Jak podkreślają pamiętnikarze w czasie tej drogi (ok. 10 wiorst) „Prus strasznie dziwaczył”. Chciał iść pieszo, a nakłoniony do zajęcia miejsca w bryczce, ciągle z niej zeskaakiwał. Zdawać się może, że podobnie jak prof. Florian Łagowski, zagorzały wielbiciel Oktawii Rodkiewiczowej i Prus sympatyzował z młodzieńką, uroczą żoną Żeromskiego.

Film wydobywa takie mało znane strony życia wielkiego pisarza ukazując go nie tylko na tle epoki, ale także w drobnych przejawach codziennego życia.



Józef Pieracki (latarnik Skawiński)

Foto: Władysław Nagy

J.D.

ANDRZEJ HAMPEL

POLSKIE DROGI

Tak Olgierd Terlecki zatytułował kiedyś swą powieść poświęconą wojennej tułaczce Polaków na szlakach II wojny światowej. Powieść o ludziach, którzy znaleźli szczęście nie mogli „bo go nie było w Ojczyźnie”. Tytuł tej książki natrętnie przewijał mi się w myślach kiedy oglądałem film telewizyjny zrealizowany w łódzkim Zespole „Profil” na motywach noweli Sienkiewicza „Latarnik”. Tytuł i myśl o niezmiennych przez lata losach Polaków, walczących na obcych ziemiach za „wolność waszą i naszą”, często karmionych niewdzięcznością, wiecznych tułaczach, dręczonych tęsknotą.

Byłoby więc „Latarnik” filmem politycznym? Sądzę, że tak, właśnie przez wydobyte na plan pierwszy zasadnicze sprawy — polskiego losu na obczyźnie. Jest przecież filmem o pustce życia bez ojczyzny o wegetacji i powolnym umieraniu emigranta, starego człowieka tęskniącego do kraju. Tak, w tej warstwie jest filmem politycznym, jeśli takie etykiety cokolwiek znają. „Latarnik” jest po prostu dobrym filmem pokazującym ważny problem naszej historii i skłaniającym do refleksji najzupełniej współczesnych.

Autorzy scenariusza — Konrad Frejdllich i Zygmunt Skonieczny, który jest również reżyserem „Latarnika”, debiutującym tym filmem w fabule — potraktowali tekst Sienkiewicza jako obszerne tworzywo, z którego wyjmując pewne wątki i dopisując niektóre postaci stworzyli godzinny film telewizyjny. Surowy miłośnik prozy Sienkiewicza, purysta literacki mógłby zapewne mieć niejaki pretensje do takich zabiegów. Wydaje mi się jednak, że ograniczając film (tylko do niezbędnych retrospekcji polskich, pokazujących młodość Skawińskiego i potem jego niedługą pracę latarnika, autorzy filmu mogli się skoncentrować na sprawie najważniejszej — rozegrać dramat starego Polaka, w sposób kameralny, ściszony, a przecież tak przejmujący i prawdziwy. Widz więc nie gubi się w rozlicznych wątkach i perypetiach, które były udziałem Skawińskiego. Na naszych oczach rozgrywa się schyłek życia człowieka, który Ojczyznę znajduje w polskim języku, w poemacie Mickiewicza czytany na nadmorskich skalach na krądcu świata

Dużą, niezapomnianą rolę stworzył w „Latarniku” Józef Pieracki, aktor mało przez film wykorzystany. Autorzy scenariusza nie dali mu dużo tekstu, a przecież mimo to jego Skawiński jest postacią pełną, krwistą, głęboko tragiczną. Pieracki nie mówi o swojej tęsknocie i nostalgii. On po prostu spokojnie i godnie, aż do bólu przejmująco, prawdziwie tęskni. Jeśli są w tym filmie sekwencje pozostające na długo w pamięci to głównie dzięki Pierackiemu, jak choćby ta, w której latarnik chłonie aż do zapamiętania na swoim odludziu strofy „Pana Tadeusza”, czy ta w której stary człowiek w zniszczonym mundurze okazuje się oficerem armii amerykańskiej, bohaterem walczącym na obcej ziemi o wolność i niepodległość. Duża rola zbudowana oszczędnie i szczerze.

Uwagę zwracają również: Antoni Jurasz w roli konsula amerykańskiego i dopisana przez autorów scenariusza postać jego córki, zagrana subtelnie przez Bożenę Sztajkowską.

Obok roli Józefa Pierackiego dużym walorem filmu są zdjęcia autorstwa doświadczonego filmowca Władysława Nagy. Sytuując dramat w trzech planach — retrospektywnym polskim, retrospektywnym z okresu pobytu Skawińskiego w latarni morskiej i rzeczywistym, w czasie jego ostatniej podróży amerykańskim szkunerem, autorzy scenariusza pozwolili na realizację interesujących, przechodzących z nastrojów w nastrojów zdjęć. Od fragmentów polskich, sielskich i sielankowych niemal ujęć dworku szlacheckiego, zniwiarzy i rozkołysanych łąk, przez brutalne, inspirowane niewątpliwie naszym malarstwem batalistycznym, przez obrazy niespokojnego morza aż po egzotyczne, iberoamerykańskie pejzaże i sceny filmowane — zdradzie tu tajemnicę — w okolicach Ozorkowa!

Zdjęcia w filmie Zygmunta Skoniecznego w pełni przyczyniają się do zbudowania atmosfery, w której tak wiele znaczy oszczędny gest, grymas wzruszenia, niedopowiedzenie, nastrojowy, pełen wewnętrznej dynamiki obraz.

„Latarnik” emitowany był w TV 24 lipca tego roku w programie I. Dobrze to i źle. Dobrze, bowiem trzymająca rękę na pulsie TV wykorzystwała obecność w kraju wielu Polonusów, zwłaszcza amerykańskich, którzy tłumnie zjechali latem w gościnę do bliższych i dalszych znajomych oraz na rozmaite przeglądy i festiwale polonijnych zespołów artystycznych i chórów. Mieli więc okazję zobaczyć film i szczerze się nim — jestem pewien — wzruszyć.

Źle — bowiem wielu widzom umknął on zapewne w natłoku urlopowych rozrywek, „letnich kin” itp.

Myszę tedy, że warto „Latarnika” po prostu w telewizji pokazać raz jeszcze, kto wie czy nie wtedy, kiedy uczniowie „przerabiać” będą akurat Sienkiewicza. Gdyby panowie układający program telewizyjny zerknęli do programów szkolnych iacno ustaliliby najkorzystniejszy do tego moment. Postulat mój jest tym bardziej usprawiedliwiony, ponieważ wiem iż film ten decyzją władz oświatowych wprowadzony został do programu szkolnego jako cenny przykład adaptacji dzieła literackiego na język filmowy.

Przy okazji, jest to jeszcze jeden niebagatelny komplement dla autorów scenariusza i wszystkich twórców „Latarnika”.

„Latarnik” — film telewizyjny zrealizowany w Zespole „Profil”. Scenariusz: K. Frejdllich i Z. Skonieczny, muzyka: L. Orlewicz, zdjęcia: Wł. Nagy, kierownictwo produkcji: A. Gniewkowski, Reżyseriat Z. Skonieczny.



JERZY URBANKIEWICZ

„UŁANI, UŁANI MALOWANE DZIECI”

Jest to miesiąc zakwitania wrzosów, pierwszy miesiąc jesieni, kiedy żółknie pora roku. Najpiękniejsza pora roku, choć może właśnie najsmutniejsza mimo tej orgii barw, mimo intensywnego fioletu wrzosów na skrajach leśnych dróg, mimo ugrów i umbrów płonących w drzewach...

Wrzesień dla nas ma jednak inną, boleśniejszą symbolikę. Polski wrzesień — ten sprzed lat — zapisał się we współczesnej naszej literaturze dobitniej niż w wierszach poetów dwudziestolecia. Tam były piękne „liści opadłych złote dywany”, winogrod, co „ognia strzępami zwisa” — tam była „jesień w bursztynowym frukcie” — tam była jesień smutna, ale nie tragiczna. I można było sądzić, że smutna symbolika wrzesniowej jesieni pozostanie tylko symboliką pejzażu.

Stało się jednak inaczej. Dni wrzesniowe stały się dniami kłęski i odtąd już fioletowe imię miesiąca spowite jest we mgłę.

„Przez szparę odlupaną w ścianie odlamkiem niemieckiej bomby widać było ostatnie przedgraniczne wioski. Ze ściernisk i łąk podnosiły się mgły wchłaniające czerwień zachodzącego słońca. Pociąg zwolniwszy wtopił się na most. Nie widac nic. Żołnierz w pokracznym hełmie zasłonił wszystko. Czy mam pełne wilgotnej, prawie purpurowej mgły...”

To zapis żołnierza, którego armia poniosła klęskę, to zapis żołnierza uwożonego na obcą, wroga ziemię, na długie pięć lat niewoli.

A inny żołnierz pod dalekim lecz przyjaznym niebem pisał w czwartą rocznicę tamtego Września:

Ziemia z mgły się wynurza
zgiebła i zrudziała
za dalekim pagórkim mruca
ciężkie działa

chmury z miejsca ruszyły i na
zachód płyną.
Uważnie otrzyj z rosy zamek
karabinu.

Nad Polską płynęły chmury — przechodziły wrzesnie — jeden, drugi, trzeci... Wrzesnie mieszczące w sobie kapitulację Westerplatte, obronę Warszawy, bitwę pod Kutnem — ale także bitwę Armii Ludowej w suchodniowskich lasach już u progu wyzwolenia i bitwę AL pod Gruszką... I Powstanie Warszawskie, w którym spłonął żołnierz piszący tak:

Obskoczony przez zdarzeń
zamek
kręgiem ostrym rozdarty na
pół,
głowę rzuć pod wiatr jak
granat,
piersi zgniecie czas czarna
łapa:
bo to była życia nieśmiałość,
a odwaga — gdy śmierć
niosło,
Umrzeć przyjdzie, gdy się
kochało
wielkie sprawy głupią
miłością.

Ile tych wierszy, tych zapisów żołnierzy-tulaczy, żołnierzy-jeńców, żołnierzy podziemia? A wszystkie zrodził tragiczny, polski wrzesień, ta mgła wrzesniowa, te dni kłęski. Zaowocowała nam literatura tragicznie polską symboliką września.

I tak już pozostanie w naszej świadomości polski wrzesień. Bolesny i gorzki. Nawet jeśli wiemy, że trafnym zarządzeniem losu finał tej hekatombi narodu zakończył się w siedem lat później w niemieckim mieście nad rzeką Pegnitz.

Wyrok w procesie norymberskim zapadł bowiem także we wrzesniu.

JERZY WILMAŃSKI

1. Desdemona

Znakomicie robiłem woltyżerkę. Ale sprawność ta nie mogła stać się podstawą przyznania mi ostróg, bowiem w całym kawalerskim wyszkoleniu to jedno ćwiczyliśmy właśnie bez ostróg. Konik mijał obojętnie, kiedy zaś należało przekroczyć cień, tulił uszy i przysiadł. Nazywałem go wtedy Platonem i pytałem, czemu go piosną cień rzeczy, czyżby miał wiedzę o ideach? Rozmowa taka przywracała mu spokój, jakby był rad, że mu dają temat do rozmyślań.

Niektóre konie miewają laskotki. Krakowiak też do nich należał, ale jego reakcje były nietypowe. Można go było klepać, laskotać i szorować po całym ciele — ani drgnął. Wystarczyło jednak zbliżyć rękę na odległość dłoni od jego krzyża i zatrzymać, a zaczynał płaszyć i przysiadł. Niektóre konie gryzą. Krakowiak nie. Jeśli się jednak przy czyszczeniu odwróciłem tyłem do jego pyska, szczytał mnie natychmiast siakaczami w jakiejś czule miejscie. Przecież mu wszystko wybaczałem. Nawet to, że jego sierść była zawsze niewyczerpanym zbiornikiem brudu. Inni wyczesywali po dziesięć, piętnaście grzebeł łupieżu, ja mogłem bez trudu uzyskać sto. Otóż jeżeli w historii tej nieblahą rolę odegrał klacz Desdemona i ulan Gorzewski, to ten koński łupież stworzył pierwszą, groźną konfliktową sytuację. Ale co o koniach łupieżu wiecie wy, dzisiejsi kłeszy znawcy koni mechanicznych, w kraju, który kiedyś zbierał laury w potęgę skoku, a dziś się krok za krokiem przestawia na produkcję konińskiego mięsa! Połędwica końską czterdzieści złotych kilo i co tu wspominać Saragossę... A czyszczenie konia polega na tym, że się szczytką zbiera brud z sierści i ociera o zgrzeblo. A potem się to zgrzeblo wystukuje o beton. W pierwszych dniach kursu rekrucckiego takich siedemnaście grzebeł pożyczylem Gorzewskiemu. Wachmistrz to zauważył i zbeszał mnie, nie zaś Gorzewskiego. I wtedy po raz pierwszy w życiu zauważyłem, że wina rzadko ma być obiektywny.

Ale nie o to w tej chwili chodzi. Nerwowość Krakowiaka i jego, że tak powiem, niedocyzyszczalność to były moje prywatne kłopoty, na które moja wspaniałomyślność i wyrozumiałość dla istoty niższego rzędu znajdowała lekarstwo. Ale to bydlę było przyczyną moich ustawicznych zatargów z dowódcą. Do dziś szczybę się tym, że mówią o

konfliktowy. Ale wynika to z mojego nonkonformizmu, nie zaś z narowów czworonoga.

Wachmistrz Szaflik miał więc do mnie pretensje nie tylko o to, że koń niedocyzyszczony. Wiek, czy też jakaś choroba spowodowała, że źle trawił, był więc chudy — to też moja wina. Następnie — a to już interesowało porucznika Wollejkę — Krakowiak był zdecydowanym przeciwnikiem cięcia łóz. Kiedy go ustawiłem na trasie wiodącej wzdłuż stojaków z łozami i dobywałem szablą, wiedziałem, że jej ostrze nie dotknie ani jednego patyka, bo Krakowiak prosto ze startu pogalopuje w lewo — w skos, ku koniom chodzącym po ujeżdżalni.

— Trzymajcie tego Krakowiaka! — wrzeszczał za każdym razem wachmistrz, a porucznik notował sobie w pamięci, że dla mnie jeszcze nie czas na ostróg.

Porucznik miał zresztą dwa jeszcze inne powody, by mi odmawiać prawa do tych jakże atrakcyjnych elementów ulanckiego ekwipunku. Jedno z ćwiczeń uprawianych na ujeżdżalni polegało na podawaniu sobie furażki za plecami z jednej ręki do drugiej. Krakowiak tego nie znośił, z powodu, o którym już mówiłem: manipulowanie ręką nad krzyżem. Jeżeli przy wykonywaniu tego ćwiczenia ani razu nie zleciałem w piasek ujeżdżalni, to dowód, że Bóg czuwał nad polską kawalerią, w każdym razie w owym czasie. I była jeszcze jedna cecha charakteru mojego konia, której wykorzystanie nie leżało w mocy mojej, ani wachmistrza, ani porucznika, ani samego dowódcy Centrum Wyszkolenia Kawalerii. Krakowiak był bydlęciem społecznym i żadna siła nie mogła go zmusić, by w pojedynkę oddał się od plutonu.

A przecież, przyszedł dzień mojej chwaly uwięziony zdobyciem ostróg. Kto wie nawet, czy to opóźnione pasowanie na ulana nie klasyfikowało lepiej mojej wartości bojowej niż moich kolegów. Bowiem mniejszą w nim rolę grało ustawienie tydek, czy też prawidłowość tzw. „dosiadu”, a większą — inteligencja. Tak cenna w sytuacjach trudnych. Inaczej mówiąc, pochlebiam sobie, że zdobyłem moje ostrogi nie tylko głową.

W owym czasie o wynalazkach takich jak „walkie-talkie” nikomu się nie śniło, a środki łączności były prymitywne. Należała do nich służba

gońca. „Goniec — pouczał porucznik Wollejkę — musi za wszelką cenę dotrzeć do miejsca przeznaczenia i doreczyć meldunek. Obojętne, w jaki to zrobi sposób: konno, pieszo, czy — ha, ha, ha — samolotem” Przystąpił mi wtedy na myśl, że gdyby losy toczony właśnie bitwy zależały od meldunku, który miałbym doreczyć na Krakowiaku, to wódz naczelny mógłby powtórzyć historycznie: „Finis Poloniae”. Działalaby tu bowiem owa społeczna dyspozycja mojego konia. Gdyby jakimś sposobem udało mi się odwieść go od plutonu, to na widok pierwszego oddziału kawalerii nieprzyjacielskiej zarządziłby radośnie i galopem do niego dotrzeć. W momencie, w którym to sobie wyobraziłem, porucznik wywołał moje nazwisko i wyznaczył na gońca.

W podobnej roli wystąpiło jeszcze kilku moich kolegów. Pokłusowaliśmy z wachmistrzem w stronę Włodowa Szlacheckiego i stamtąd mieliśmy się przedzierać przez lasy i zagajniki do koszar w Grudziądzu. Otrzymałem meldunek usny, co należało uznać za okoliczność pomyślną. Bo ponieważ tak czy owak wpadną w ręce nieprzyjaciela, nie będą chciały musiał polykać kartki z bloku meldunkowego. Regulamin wyraźnie sugeruje taki sposób ochrony tajemnicy służbowej.

Porucznik z resztą plutonu pozostał bliżej Grudziądza i ukrył się w zaroślach, by stamtąd obserwować wydarzenia. Tylko temu faktowi możemy zawdzięczać, że Krakowiak dał się odwieść od naszej grupy i aczkolwiek niechętnie, ruszył przeciw w oczekiwanym kierunku. A dalej wszystko odbyło się tak, jak to sobie z góry wyobrażałem. Jedziemy o to z Krakowiakiem ścieżką pod samym lasem, gdy nagle mój dzielny koń zaczyna strzyc uszami, przyspieszać i wrzeszczeć. No, myślę sobie, oto i nieprzyjaciel przed nami. I rzeczywiście. Po chwili z zarośli wyjechał Gorzewski na Desdemonie, jako dowódca wrogiego patrolu. Z jego twarzy i twarzy podkomendnych bil zapal bojowy, więc domyśliłem się o obecności porucznika w pobliżu. Miel szablę w dłoniach, jedynie Zmiejewski działał gołymi rękami. Bowiem jego zadaniem było łapanie gońców przestraszonych widokiem przerażających sił npla. Gdy tylko Krakowiak przytknął do niego, chwycił go przy pysku i był pewni, że mnie mają. Jednakże, jak się rzekło, zaczęła działać moja inteligencja. Ani myślałem o przekonywaniu Krakowiaka, że stojmy w obliczu nieprzyjaciela i tylko świnią się z nim kuma a nie ulanem. Po prostu zeskoczyłem na prawą stronę i dałem nura w gestwinę. Głupio mi było, że reszta drogi będę musiał odbyć pieszo. Ta tak nieulanska perspektywa podsunęła mi nagle genialną myśl: Desdemona i jej nerwowość czy ko-kieteria! Szybko zdjąłem karabin i choć mi się serce krajało na myśl, że będę musiał tego dnia czyścić łufę, strzeliłem ze ślepek w korony drzew. Tam w górze coś zakrakotało, nieświadome faktu, że to nabój ćwiczebny, a tu na dole Desdemona wspięła się na zadnich nogach, następnie wykonała gwałtowny skok ku przodowi. Gorzewski znalazł się w pierwszej chwili poza tylnym łękiem, następnie przeleciał nad głową klaczy i wyładował pod nosną. Ja właśnie na to liczyłem. Po chwili siedział na Desdemonie i w blasku ulanckiej chwaly pedałował do Grudziądza.

A potem już tylko: „Ku chwale ojczyzny” i polerowanie ostróg.

2. Dur brzuszny

Rozkaz szczyptenia duru brzuszno ogłoszono jakoś krótko przed podróżą taktyczną. Myśmy nie przecuwalli, co to takiego, ale dowództwo wiedziało. Być może w poprzednich latach jakieś konie młskury zamiast do tzw. lekwea trafiły do Izby Chorych i siały spustoszenie w szeregach ulanów z cenzusem.

Któręś więc soboty szczytki i zgrzebla przywróciły sierści końskiej blask, jaki jej dala natura. Pasta „Dobrolin” pomogła uczynić z końskich rzedów — dzieła sztuki. Z broni białej i palnej usunęliśmy najdrobniejsze pyłki. Ale w pedantów przedzierzgnęliśmy się nie z własnej inicjatywy. Ja myślę, że wachmistrz Szaflik nie wykluczał możliwości nagłej śmierci któregoś z nas, wolał więc mieć dziełstwo w stanie takim, by każdy magazyn je przyjął. Ale pomimo widocznej reżyserii to co się działo, nie miało cech sztuczności, było fragmentem życia. Musiały się więc pojawić konflikty. Jeden z nich dotyczył oczywiście mnie i Gorzewskiego.

Wachmistrz mało na ogół przywiązywał wagi do tej lufy ekm-u, która służyła do strzelania ślepa amunicją. Właśnie tego dnia funkcje celowniczego pełnił Gorzewski. Ja zaś — taśmowego. Ale on to tak jakoś załatwił z wachmistrzem, że mnie przypadło w udziale czyszczenie, jak ja nazywaliśmy, „ślepiej lufy”. Stanowiła ona własność nie pojedynczego ulana a całego plutonu, myślałem



Foto: Archiwum

więc, że gdyby nawet dur brzuszny pochłonął więcej ofiar, to i tak lufa służyłaby tym, którzy przeżyją. Liczyłem wobec tego na pobłażliwość wachmistrza. Ale zawiódłem się. W tym przedpogrzebowym nastroju dwa razy mnie odesłał do ponownego czyszczenia, a za trzecim wskazał na jakąś plamkę u wylotu i zapytał:

— A co to jest?
 — Wazelina, panie wachmistrzu — odpowiedziałem pewnie, ale bez obrębiny wiary we własne słowa.
 — Wazelina? To jest rdza! Jasne?
 — Wazelina,
 — Rdza!
 — No to ja już nie wiem — zacząłem się doszukiwać przyczyn poza obserwowanym zjawiskiem. — Chyba pan wachmistrz jest daltonista...

Wachmistrz przez chwilę przyglądał mi się uważnie i wreszcie wycedził:

— Słuchajcie, wy mi takich rzeczy nie gadajcie. Daltonista to ja dawno przestałem być. Ale ja się teraz za was wezmę.

Wycyzłem po raz trzeci. Jak to jednak kiepski nastrój zwierzchników udziela się szeregowym. Nigdy żadne zabiegi higieniczne zdrowotne nie wyprzedzały nas z równowagi, ani szwaneparada, ani wykłady z higieny własnej i konia, a tym razem czuło się powszechnie przygnębienie. Widocznie dowództwo miało nie najlepsze doświadczenia z lat poprzednich, że się tak tenetrowało.

Zaraz po obiedzie ogłoszono zbiórki i poszliśmy do Izby Chorych. W poczekalni czekał na nas wąsaty wachmistrz — felczer („lapiduch“) i rzeczowo poinstruował naszego Szaflika:

— Józek, dawaj ich według analfabetu.

Rozebrani więc do pasa wchodziliśmy do następnej sali, gdzie sanitariusz klakiem waty umaczonym w jodynie robił każdemu pionową krechę na piersi. W to miejsce następni lekarz wbił igłę, a potem drugi sanitariusz przeciągał krechę poręczną. Z takim jodynowym krzyżem można sobie było iść do sypialni.

Szczepienie przebiegało na ogół bez zakłóceń, jeżeli nie liczyć faktu, że lekarz dziabnął jakoś niezręcznie Hilarego księcia Rozdziałwiła i z samego środka jodynowego krzyża popłynęła kłębiąc strużka krwi.

Rozdziałwiłowie znowu oddają krew ojeździe — skomentował Michałowski. A Cichoń, który był ze Lwowa, zdziwił się głośno:

— Ta-joj! Taż wcale nie błękitna...

Wtedy Rozdziałwił, który po polsku mówił źle, bowiem w salonach używał języków obcych, powiedział coś po angielsku do Zamoyńskiego. Michałowski nie zrozumiał, ale ponieważ miał od dawna na pieńku z Hilarym, na wszelki wypadek porządził:

— A ty stul pysk, zdegenerowany arystokrato.

Wstrzymaliśmy oddechy w oczekiwaniu, że teraz popłynie krew Michałowskiemu, ale Hilary po prostu udał, że nie słyszy. Wątpliwe, czy gdyby wzywał Michałowskiemu na udep-taną ziemię, zyskałby coś więcej ponad dodatkowe guza. Michałowski był rosły, a jego jodynowy krzyż ciemniał na wypukłej, muskularnej piersi, podczas gdy Hilary książe Rozdziałwił klasyfikował się raczej jako chuchro.

Te drobne międzyklasowe niesnaski poszły jednak szybko w niepamięć, bowiem wszystkich ulanów z cenzusem, bez względu na pochodzenie społeczne zmogła gorączka. Dowódca szwadronu przewidywał takie następstwa mocnych dawk surowicy i kazał zanieść do każdej sali dzbanek herbaty. Poleciał też, by personel sanitarny czuwał. Jęczyliśmy przez całą noc i dopiero nad ranem zmorzył nas sen. Ale wtedy rozległy się dzwinki pobudki.

Szwadron nasz nie miał etatowego trębacza. Była tylko trąbka. Kto więc nudził się w czasie szwadronowej służby, dmuchał w sygnałową i niekiedy nauczycieli się układania tych kilku dzwinków w melodię zbliżoną do regulaminowych sygnałów. Na ogół jednak pobudka odbywała się w ten sposób, że dowiejny podoficer służbowy uchylał drzwi, wsadzał do wnętrza tzw. czare glosową trąbkę i wydawał przeraźliwe ryknięcie. A jeśli miał w danej sali osobistego wroga, to kilka przeraźliwych ryknięć. Gorzewski budził moją ze specjalnym sadyzmem. A ja mu odplącałem pięknym za nadobne.

Tego ranka, że to służbę z powodu szczepień pełnił podoficerowie zawodowi, na podwórzu koszarowym zjawiał się prawdziwy trębacz i odtrąbił „pobudka wstać“ z tak niezrównanym artyzmem, że nas cholera brała. Widocznie piętnaście godzin słabość to było wszystko, na co sobie polska kawaleria mogła pozwolić. Na apelu odniesiono się do nas jak by żadnego duru ani gorączki nigdy nie było. O pół do dziewiątej wy-marsz kolumną do kościoła.

Rozkaz ten został skomentowany w ubikacji, w warunkach nie gwarantujących zachowania tajemnicy woj-

skowej. Mianowicie koszarowy wychodek przeznaczony był nie sięgającą do sufitu ścianą, po jednej stronie której ciągnął się rząd stanowisk do kucania, po drugiej — długi pisoir, pracujący tuż po pobudce z wy-dajnością plutonu na minutę. Owe niedzieli pomiędzy śniadaniem a zbiórką stanowiska do kucania były szczególnie zapelnione przez rekonwalescentów — ulanów z cenzusem. Poczeli oni komentować rozkaz pójścia kolumną do kościoła w sposób nie-przychylny, a nie wiedzieli, że po stronie pisuarowej siusia właśnie wachmistrz szef.

— Włecie, — perorował Gorzewski, w którego głosie słychać było co chwilę wysiłek, — jeżeli zrobią zbiórkę do kościoła, to będziemy jeden po drugim mdleli.

Zarządzono zbiórkę. A wszelkie zbiórki odbywały się wzdłuż ażurowego plotu oddzielającego podwórze koszarowe od ulicy. Wachmistrz szef czekał z grobową miną, aż podoficer służbowy zda mu raport. A potem sam skomenderował:

— Pierwszy i trzeci pluton — za-gięć skrzydła!

Zawsze się tak postępuje, kiedy chodzi o dyskretne omówienie czegoś. W opisanych warunkach dyskre-cja była o tyle wskazana, że po drugiej stronie ażurowego plotu naród tłumnie walił do pobliskiego kościoła. Skorośmy się ustawili zgodnie z roz-kazem, wachmistrz począł wrzeszczeć głosem tak donośnym, że słyszeli go nie tylko pobożni parafianie, ale musiało to dojść uszu organisty w czasie gdy grał fugę tutta la forza.

— Wam dupy miodem smaruja — krzyczał — a wy jaja nadstawiacie! Wyście dostali herbatę na noc, a wam się gówno należy!

I długo wymieniał wszystko, co nam się nie należy, ale dziś trudno by to było powtórzyć, bo ilekroć wachmistrz szef zbierał głos w takim duchu, wszyscy upajaliśmy się absolutnie doskonałym doborem słów, skutkiem czego uchodził naszej uwagi zasadniczy temat przemówienia oraz dramaturgia zakończył krótko i pedagogicznie:

— Kto się nie czuje na siłach, by iść do kościoła — wystąp.

Nastąpiła krótka chwila wahania i nagle Ganowicz, chłopak wyjątkowo wątły, upadł zemdlony w żwir dziedzińca.

Gorzewski doskonale wiedział, że to jego uwagi w ubikacji spowodowały całe zamieszanie. Ale w tym momencie, dzięki tej słabości Ganowicza poczuł się usprawiedliwiony i wymruczał kilka życzeń pod adresem wachmistrza szefa. Ze jednak użył formułowań z leksykonu w/w wachmistrza szefa, zacytowane tu nie zostaną.

3. Alarm

Obudziło mnie, być może, słońce, które wspięło się na sosny z tamtej strony jeziora i spomiędzy kosmatych wierzchołków pacnęło mnie ciepłem w policzek. Może ptasie wrzaski spać nie daty. Może konie, przekomarżając się nad klakiem słomy, głośniejsz parsknęły i straszły nawzajem siekaczami. A ja byłem wówczas skłonny wydziać, że w sposób metafizyczny przeczulem ów alarm i to przeczucie mnie obudziło. A alarm wypadł wręcz — gnatkowo.

Dawniej to bywały alarmy! Pamiętam pierwszy. Na głowie rekrutka szczecinka jeżyła się od nadmiaru informacji, które stanowiły mieszaninę Regulaminu Kawalerii z płodami wyobraźni i regionalnym akcentem wachmistrza („to co tu widzicie to jest koń; zaczyna się na końcu pyska, kończy na ogonie; składa się z następujących części“). Już w cywilne mózgowicze wraziło się jakoś pojęcie konia, już wiedzieliśmy, gdzie toto ma puźdno, portki i krupę i dlaczego ma taką dużą głowę i któregoś dnia wyfasowali się: czapraki, juki, owsiki i z tuzin troków, czyli pas-ków różnej długości i kształtu, służących do spinania ulańskiego dobytku w jedną całość. Wachmistrz Szaflik objaśnia co i jak, pokazał, co się do czego przypina, a następnie całą tę układankę zdjął z czapraka, roz-rucił i zakończył instrukcją, jak te rzeczy należy przechowywać w koszarach na szafie i żeby uważać, bo jak komuś trok zgine, to na pewno drugiemu ukradnie.

Wieczorem zapajaliśmy właśnie la-zanki cienką herbatą i uświadamia-liśmy sobie, że nareszcie wiemy, skąd się wzięło powiedzenie „wziąć tyłek w troki“, kiedy porucznik Wollejo ogłosił alarm ćwiczebny.

Rany boskie! Co się wtedy działo! Wszyscy wpadliśmy na ten sam pomysł, że najlepiej włożyć na siebie całe wyposażenie przewidziane dla ulana w boju (sort mundurowy i u-zbrojenie), a potem zająć się koniem. A więc płaszcz i pas główny z dwie-na potrójnymi ładownicami, szelki, łopatka, bagnet, maska przeciwgazowa, głowa nakryta hełmem francuskim z chytrości włożonym na furazerkę, aby nie upijał. Do lewej ręki — ka-rabin i szabla, na głowę — czaprak. Gdzie się znalazło miejsce na koc, owsiak, juki i troki, tego nie odtwo-rzę z pamięci. Potykając się, potrą-



Foto: Archiwum

cając wzajemnie dopadliśmy spoce-ni i zziądani tajni i tu się dopiero zaczęło. Żaden trok nie pasował do tego miejsca, w które go wpychałem. Zmyliła mnie łatwość, z jaką wachmistrz rozwiązał tę szaradę na za-jeźniach. Zaisie, są rzeczy na niebie i ziemi, o których się nie śniło naszym filozofom. Żadna z zasad logiki formalnej nie mogła pomóc w podjęciu decyzji, czy owsiak ma być na przednim łku, a koc z tyłu, czy na od-wrót.

A porucznik Wollejo uśmiechał się pobłaźliwie i perswadował:

— Spokojnie, chłopcy, nie gorączkować się. Róbcie to powoli, a wy-jdzie dobrze.

Oczywiście pierwszy stanął na zbiórce Gorzewski, moja zaś goto-wość bojuwała w ogóle zakwestionowana.

Ale to było dawno. A tego czerw-cowego poranka leżałem sobie roze-brany na stogu słomy, słońce grzało w policzek, uświadomiłem sobie, że zostało już tylko tydzień do promocji ulanów z cenzusem na podchorążych, przeciągnąłem się i usłyszałem głos porucznika Wol-lejko, jak wzywał do siebie ront.

— Z byka spadł? — pomyślałem sobie. — Chyba nie będzie robił alarmu na parę dni przed końcem Szko-ly...

A zrobił. A zatem rontowi, radzi, że nie tylko oni mają sen zepsuty, dał upust radości potwornym wrzaskiem: „Alarm!“ A służbę rontowego pełnił m. in. Gorzewski. I wtedy z różnych dźwir w stogach, ze strychów, z sąsiedków, uniosły się leni-wie rozepsane głowy, a wraz z sze-lestem słomy rozmruczało się całe m. p. czyli „miejsce postoju“: „Ano alarm, to alarm. Trzeba wstawać“. I zaczęło się zgła nie alarmowe trze-panie koców i płaszczy, owijanie nóg w onuce, przeciąganie, ziewanie, przypinanie ostróg, a następnie ten i ów ruszył niezbyt raźno do konio-wizuru.

Porucznik Wollejo stał i patrzył. Wyglądał jak człowiek, który się o-budził pod wrażeniem sennego marzenia i teraz nie wie, czy rzeczy-wistość jest rzeczywistością, czy snem. Otrzeźwił go widok Zmijew-skiego, który zatrzymał się w połowie drogi między stogiem a końmi i zaczął sikać. To była rzeczywistość.

— Dlaczego się nikt nie spieszy?! — zakrzyczał porucznik nieswoim głosem.

No, tośmy się również zastanowi-li, że rzeczywistość nikt się nie spieszy, a to przecież alarm i nieco wzmogliśmy tempo przygotowań do boju.

A działo się to gdzieś w okolicach Świecia, wiedzieliśmy więc, że trzeba będzie znowu zdobywać Grudziądz. I rzeczywistość, wśród rozkwitających i rozzielonych czerwcowo wzgór-z i lasów dopadliśmy wachmistrza Ziob-ro, który w towarzystwie dwóch ulanów ze szwadronu luzaków, z żół-tą flagą w ręku markował szwadron kawalerii npla i sprawiliśmy mu przy pomocy kbk, Maximów 08 oraz broni białej porządne lanie. Następnie ru-szyliśmy marszem podróznym do ko-szar, przekonani, że jeżeli w czasie ewentualnej wojny kawaleria nie-przyjacielska zajmie Grudziądz, to ją będziemy lali bez względu na to, czy nam przyjdzie walczyć z bronią z strony Świecia, Wąldowa Szlacheckiego, pla-cu ćwiczeń Sahara, czy jakiegokol-wiek innego kierunku.

Ponieważ nieprzyjaciel zapuścił się dość daleko w stronę Świecia, sto-sunkowo wcześniej doszło do kontak-tu z nim, bitwy i omówienia. I wcześniej wyruszyliśmy, by przebyć 15-kilometrowy odcinek drogi dzielą-cej nas od koszar. Jechało nam się lekko, konie parskały jak na stroni-cach Sienkiewicza, świat iskrzył się barwami i słońcem, przekonanie, że ostatni alarm ćwiczebny mieliśmy już za sobą, dawał poczucie bezpie-czeństwa, słowem — Szkoła się kończyła, za kilka dni wyjazd do pułku, a to już nowy rozdział w życiu.

I tak kłusując na moim nie doczy-szczonym Krakowiaku przeglądałem w myślach minione miesiące. Nie u-

legało wątpliwości, że „dali nam w kość“. Ale ten jeden rok odjeży od dwudziestu przeżytych już teraz miał cedchy przygody. Chociaż wachmistrz Szaflik niejedną wyrządził mi przy-krość z powodu Krakowiaka, miękkó mi się nagłe zrobiło na sercu, pokle-palem bydłaka po szyi przez wdzięcz-ność za to, że wpisał się kopytem na listę niezapomnianych przyjaciół.

A wśród ludzi? — Dziwił mnie u-kład stosunków między mną a Go-rzewskim. Dlaczego w każdej kon-fliktowej sytuacji, w jakie trafilem, zawsze on był tą drugą, nieprzyjazną stroną? A co gorsza — ja nigdy nie przypisywałem tym sytuacjom tak-iego znaczenia, jakie im przywiązy-wali inni, a nawet sam Gorzewski. No, owszem, współzawodniczyliśmy o prymat w szwadronie, ale moje ma-rynetki o złotej szablą zrodziły się do-piero wtedy, kiedy ku memu zdzi-wieniu egzamin wypadły mi znakom-nie. Pobił mnie stopniem z pionierki. Ale pobił sprawiedliwie. Wi-docznie czegoś nie dostawało mojej wyobraźni, skoro kapitan-saper za-wsze miał zastrzeżenia do sposobu, w jaki zrobionym z konopia „lontem pionurującym“ łączyłem drewniane „kostki trotylu“. Egzaminacyjne zbro-jenie mostu pod Modlinem mi nie wyszło. A jemu wyszło. Więc gdybym miał pokierować się odruchem, uści-ślonym mu, doń, szczerze uznając jego wyższość. Ale cały pluton roz-u-miał to opacznie, że mianowicie obaj chcieliśmy wypaść znakomicie, a mnie się nie udało. On też miał wy-rzaz triumfu w oczach. Triumfu, któ-ry nazwałbym złościwym. Jak gdyby bardziej go cieszyła moja porażka niż jego sukces. Bo można się cie-szyć z własnego powodzenia i kochać cały świat przez tę właśnie radość. A można nienawidzić otoczenia dla-tego tylko, że mi nie dorosło do pięt. Właśnie Gorzewskiego posadzałem o tę drugą postawę. Ale w plutonie ro-zumiano to inaczej i te jego wszyst-kie drobne i grubsze sukcesy odpo-wiadające moim porażkom ukształto-wali przekonanie, że się nienawid-zimy.

Ileż to okazji takich konfliktów na-strecała podróź taktyczna.

Wyjechaliśmy pod koniec maja, wiedliśmy boje w cudzych garnizo-nach, czarowaliśmy dziewczyny w cu-dzych powiatach i zdawaliśmy eg-zaminy w cieniu lip, na „lizjerach“ lasu, u drewnianych mostów nad rze-kami rybnymi, płynącymi kryształem po złotych dnach. I dźwigała pio-senka ulańska, kolorowa, miłośna, a jeśli w niej konik nad mogiłą nóżką grzebał, to dla efektu to robił a nie z potrzeby.

Wojowaliśmy zwykle do wczesnego popołudnia, potem — kwatery wśród kpinających sadów, zanim zaś przy-chęły kuchnie polowe, rozkładaliśmy w cieniu drzew wędzida i munsztuki, a jeśli tego dnia doszło do strzelani-ny, to i karabiny czyściłiśmy, bez pośpiechu zresztą. W takich razach dogadzał nas wachmistrz Szaflik, a robił to trochę z obowiązku, a trochę z ciekawości. Bo przecież byli wśród nas ludzie ze wszystkich zakątków kraju, różnych zawodów i pozycji społecznych. Samych hrabiów mie-liśmy dwóch, książę trafił się jeden, za to dość głupi, byli ziemianscy syn-ownie, i sporo takich jak ja, których pułkownik-hipolog nazywał „młodymi gimnazjastami“. Polerując więc wędzi-da gadało się o różnościach, a dla wachmistrza było to okno na świat.

A przecież w tej zdawać się mo-gło, bezkonfliktowej atmosferze, w gadkach czasu odpoczynku dochodzi-ła do głosu waśń między Gorzewskim a mną.

Jeśli on podjął jakiś temat, wach-mistrz chłnął każde jego słowo i Gorzewski miał najbliższej nocy ront z głowy. A mnie nie wychodziło. Za-cząłem kiedyś o astronomii. Nie by-ło to tak ni stąd ni zowąd. Wynik-ło z sytuacji. A ponieważ wach-mistrz się zainteresował, rozwinąłem teorię Kopernika i dodałem coś na temat galaktyki. Ale wachmistrz ni-czemu nie wierzył. Zapytał wreszcie: — A może wy mi jeszcze powiecie,

że ta ziemia ma oś? A kto te oś wi-dział?

I nazajutrz wyznaczył mnie na ko-niowodnego juku amunicyjnego.

Innym znowu razem ćwiczyliśmy współdziałanie kawalerii z lotnic-twem. Polegało to na tym, że w cza-sie walk z 7 pułkiem ulanów mieliś-my posłać meldunek do dowódcy brygady. Ustawiono na łące dwie lance, zacepieno o nie sznur z u-wiązaną torebką, w której tkwił mel-dunek. Nadleciał następnie samolot, wypuścił jakiś inny sznurek obciążo-ny kotwiczką i ta kotwiczka miała zacepić za tamten sznur wiszący po-przeznie z przywiązanych meldun-kiem, wciągając go do środka, od-wieźć dowódcę brygady i w locie mu zrzuć. Ale udała się ta rzecz dopiero za drugim razem. Gorzewski wyraził głośno podziw dla zdobywcy techniki. A ja powiedziałem, że je-żeli w czasie wojny za pierwszym ra-zem się nie uda, to całą brygadę dia-blił wezmą. Wachmistrz Szaflik tylko na mnie spojrzal spod daszka. I tej-że nocy pełniłem służbę rontowego.

— Stóóóó! Z koni! Popuść poprę-gi! Kierunek koszary — w rękę murrrrrr!

4. Egzamin na lizjerze lasu

Rozbili nas 20 września. Tytu kilku ludziom mojego pluto-nu, który ocaleli, kazano wyciąć się do koniowodnych przez zagajnik, bo było bliżej. A ja szedłem leśną drożką, prowadzłem bowiem ranne-go Zmijewskiego. Miał poharatane o-bie ręce, więc mu je obandażowałem i widłem wystrazonego — bał się kalectwa.

Drożka przecinała bitą drogę bie-gnącą po samej „lizjerze“ lasu, szpa-lerem drzew osłoniętą od strony pola. Wziąłem chłopaka wpół, by sko-nie przebyć osłoniętą przestrzeń. Ale uwagę moją przyciągnął jęk. Po-szedłem w tę stronę. W rowie leżał rozpruty trup koński, a w krwawym kłębówisku jelił, poszarpanych mięsni i błota tkwił człowiek, albo raczej — pół człowieka, gdyż jego brzuch i nogi były w sposób makabrycznie beładny zmieszane z ochlapami ścierwa.

Z jego sinej twarzy patrzyły przy-tomne oczy, pełne rozpacz i bólu. Błagał, by go dobić. Więc sięgnąłem po visa i odwiodłem kurek. Ale Zmijewski trafił mnie lokciem.

— To przecież Gorzewski...

A tamten powtarzał swoje błaga-nie, czy żądanie. Jeszcze gorsze od słów było spojrzenie i ten beład resztek człowieka i zwierzęcia doko-ła. Ręka mi opadła, a Zmijewski pa-trzył teraz na mnie, nie na niego. Więc uświadomiłem sobie, co miał na myśli: nasze z Gorzewskim współza-wodnictwo, nasza, jak to określano w Szkole Podchorążych — nienawiść.

Byłem pewien, że jeżeli czerw-ności konia, jeżeli o pomocy le-karskiej nie było co marzyć, jeżeli Niemcy deptali nam po piętach, to tylko jedno pozostało do „zrobienia“, by skrócić jego męki o te sekundy czy minuty, które dzieliły go od zgo-nu. Ale sparaliżowała mnie ta druga para oczu, oczu Zmijewskiego. Malo-dusznie zastanawiałem się, czy uzna mnie za niedźnika, jeżeli strzely, czy też z dezaprobatą liczy sekundy mo-jej zwłoki, w ciągu której przeciąga-ła się agonia Gorzewskiego Czy więc uważał, że strzelając odpląc Go-rzewskiemu za jego przewagi — b...-talnie, kulą. Czy też może sądził, że mszczę się, przeciągając jego mę-...? A z każdą chwilą mojego niezdedy-dowania Gorzewski cierpiał. I był świadom tego, że Zmijewski swoimi zabandażowanymi rękami tego nie zrobi, bo patrzył na mnie i mnie błagał. I pod presją tych dwóch par oczu zatraćłem poczucie upływu cza-su. Więc nie wiem, czy stałem z tym pistoletem w dłoni kilka sekund, czy pół godziny. I nie odczułem ulgi, kie-dy jego głowa opadła na zakrwawio-ną tylnikę, a ja schowałem visa do kabury, pewien, że przez całe życie będę w sobie niósł tragiczny żal, że wiedziawszy pierwszym odruchem — nie strzeliłem.

RELACJE

PO DRUGIEJ STRONIE ŁABY

Na dobrą sprawę recesja uderzyła RFN słabiej niż te inne państwa zachodniej Europy. A jednak dołek jest. I trudno niezmiernie z niego wyskoczyć. I to zaskakuje ekonomistów najbardziej. Badź co bądź najbogatszym obecnie krajem zachodniej Europy jest Republika Federalna Niemiec. To Bundesrepublika a nie żadne inne państwo rozporządza miliardowymi nadwyżkami zarówno w bilansie płatniczym jak handlowym.

Na samo dno dotarła gospodarka RFN w styczniu ubiegłego roku, kiedy to liczba bezrobotnych przekroczyła milion trzysta tysięcy osób. Dziś w RFN rejestruje się około miliona bezrobotnych. Poprawa jest, oczywiście, ale milion osób wciąż rozgląda się za zajęciem. I dzieje się to w kraju, który doniósł o wzroście dochodu narodowego w zeszłym roku o sześć procent. Rezultat jak na recesję zaskakująco dobry. W Anglii o takich wskaźnikach można sobie tylko pomarzyć.

A jednak... Jednak dołek jest. Głęboki. To właśnie tak bardzo niepokoi ekonomicznych speców Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Bo jeśli jest tak dobrze, to czemu jest tak źle? Dlaczego oficjalne kragi w Bonn dają do zrozumienia, że w tym roku wzrost dochodu narodowego z trudem przewyższy cztery procenty? Człowiek bankierzy Bundesrepubliki są nawet mniej optymistyczni. Twierdzą, że ten wzrost zatrzyma się przy trzech procentach. To już góra. Więcej osiągnąć się nie da. Zresztą o cóż chodzi? Czy mimo wszystko, stopa inflacji nie jest w Bundesrepubliki i tak niższa niż we wszystkich innych krajach zachodniej Europy?

Problem istotnie jest powikłany. Trudno by było posadzić rząd kanclerza Schmidta o brak zrozumienia dla kwestii bezrobocia. W Bonn dokłada się starań, aby rozmiar bezrobocia ograniczyć. Do roku 1990 wyda się niemal dziesięć miliardów marek na podkreślenie gospodarki. Takie są założenia. Podjęto też inne kroki dla podniesienia gospodarki na szersze tory rozwojowe. Popiera się inwestycje. Udziela niskoprocentowych kredytów. Zmniejsza podatki tym przedsiębiorcom, którzy rozbudowują tak zwane mo: produkcyjne. Rząd bezczynnie nie siedzi.

A jednak... Jednak jest już pewne, że Bundesrepublika swych celów nie osiągnie. A chodziło o obniżenie poziomu bezrobocia do 800 000 osób. Takie były plany. Już wiadomo, że koszty były druzgazy. Nie z tego. Jeszcze żywi się niewielką nadzieją, że być może do końca roku liczba bezrobotnych zmniejszy się o 20-30 tys. osób. Tak czy owaś, nadal będzie otyśować wokół miliona.

Prasa Bundesrepubliki uskarża się teraz, że wszystkiemu winien wyż demograficzny.

To prawda, przyrost naturalny jest w Bundesrepubliki od kilku już lat katastrofalnie niski. Przyjmuje się, że ludność RFN zmniejszy się do 1990 r. z 62 mln (tyle ludności liczy dziś Bundesrepublika) do 58 milionów. Tak będzie. Ale w przyszłości. Na razie wchodzi na rynek pracy roczniki powojennego wyżu demograficznego. W ciągu paru kolejnych lat ma to być znowu nadreński gospodarki. Tysiące młodych ludzi z tego właśnie wyżu ustają się w długich kolejkach po pracę.

Rząd się stara, a jednak... Jednak rzecz w tym, że wielkie koncerny Bundesrepubliki ani myślą o zwiększaniu zatrudnienia. Tak z reka na sercu duża ilość renomowanych firm po cichu przyjęła recesję z westchnieniem ulgi. Znalazł się wręcz pretekst do pozwalania tej masie robotników, także cudzoziemskich, których naprzyniano do pracy w okresie tak zwanego cudu gospodarczego. Tęba racjonalnie, nowoczesnie, droga zwiększenia wydajności pracy. Więc to samo, nawet więcej, lecz przy niższym zatrudnieniu.

Krótkie wyjaśnienie. Stawki rodzinne są już w RFN niemal tak wysoko wyrubowane jak w Szwecji. Są obecnie wyższe niż w Stanach Zjednoczonych. Statystyczny pracownik zarabia dziś w RFN średnio dwa razy więcej niż pracownik tej samej kategorii w Anglii lub Japonii. Tymczasem stanowisko pracy co trzeciego robotnika zależy od eksportu. Jest eksport — jest praca. Urwie się eksport — zostaje ulica i zasilek dla bezrobotnych. Trzeba obniżyć koszty produkcji, mówi się w przemysłowych kragach, inaczej się nas na światowych rynkach konkurencja.

To są te bariery wobec których rząd jest bezsilny.

Koncerny widać lepiej. Koncerny inwestują. To prawda. Ale inwestują w modernizację urządzeń. W to inwestują, co oszczędza siłę roboczą. Co zwiększa dochód. Jakże wybiec z tych strukturalnych sprzeczności? Szef Federacji Związków Zawodowych RFN Oskar Vetter zasugerował ostatnio robotnikom, by zgodzili się dobrowolnie na jeszcze bardziej skrócony tydzień pracy i niższe też zarobki. Sugerować można, oczywiście, ale nie z takimi sugestiami do ludzi, którym doskwierają rosnące koszty utrzymania.

Londyński „The Times” napisał niedawno: „Nie absolutnie na to nie wskazuje, by mogło dojść znowu w Bundesrepubliki do pełnego zatrudnienia”.

Do pełnego zatrudnienia nie dojdzie tam ani w tym ani w przyszłym roku. Jeśli dojdzie kiedykolwiek. To raczej w... W drodze do tego celu piętra się strukturalne sprzeczności wbudowane niejako w system gospodarczy, który nad Renem funkcjonuje. Dobro koncernów i dobro szerokiej społeczności, to po prostu dwie różne rzeczy. Ze sobą nie do pogodzenia.

JAN BABIŃSKI

PERSPEKTYWY

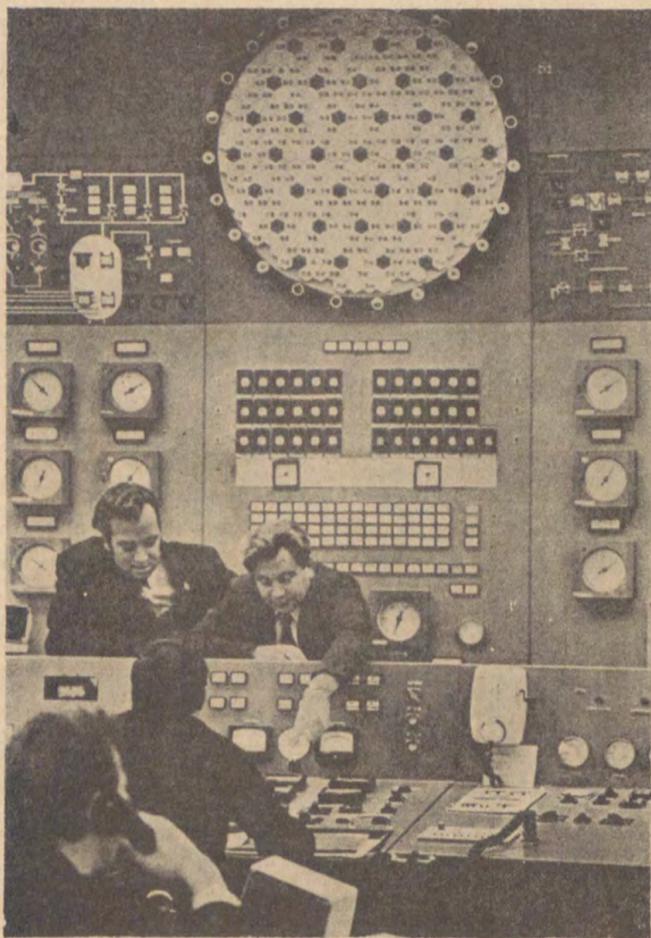


Foto: Archiwum

Japończycy planują zbudowanie komputerowej, zautomatyzowanej fabryki narzędzi, która będzie zatrudniać tylko 12 ludzi zamiast 700 do 800, jacy byli by potrzebni w zwyczajnej wytwórni o podobnej zdolności produkcyjnej. Koszty budowy fabryki przewiduje się w wysokości 40 bilionów jenów (83 mln funtów). Miejsce budowy w Japonii nie zostało jeszcze wybrane, lecz należy spodziewać się, że budowa rozpocznie się w ciągu najbliższych dwóch lat.

Wprowadzenie komputerowej zautomatyzowanej fabryki będzie miało z pewnością doniosłe znaczenie zarówno dla kierownictwa jak i liniowych robotników. Pełne skutki automatyzacji dla kadry kierowniczej nie zostały jeszcze wystarczająco ustalone, lecz jest prawdopodobne, że wprowadzenie jej będzie wymagało znacznych zmian w przygotowaniu personelu i w rozwiązaniach technicznych. Wpływ automatyzacji fabryk da się odczuć nie tylko w Japonii.

Jakkolwiek przewidywana budowa zautomatyzowanej fabryki w Japonii będzie pierwszą tego rodzaju na świecie, wiele innych krajów osiągnęło również znaczne postępy w rozwoju komputerowej zautomatyzowanej produkcji. Najbardziej wyróżniającymi się spośród nich są W. Brytania, NRD, RFN, USA, Węgry, Norwegia i Czechosłowacja.

Niektóre kraje skoncentrowały się w swoich poszukiwaniach na jednym szczególnym aspekcie automatyzacji komputerowej — ponieważ to polegała za sobą połączenie kilku odrębnych systemów produkcyjnych. Wskaźnikami kluczowymi są technologia grupy, produkcja w zespołach (w przeciwieństwie do linii produkcyjnej) i bezpośrednia, numeryczna kontrola określonej liczby maszyn przez komputer.

Wstępny szkic planu komputerowej fabryki zautomatyzowanej, która zamierzają budować Japończycy, został opublikowany jeszcze w 1974 r. Według niego urzędzenia fabryczne będą wytwarzać około 2000 rozmaitych części maszynowych. Część te będą następnie wmontowane w składniki maszyn, takich jak przekładnie, silniki hydrauliczne i głowice wrzecion. Obróbka metalowa, regulacja ciepła, wytłaczanie, spawanie, obróbka mechaniczna, nadzór, montaż i malowanie będą w całości wykonane automatycznie.

Japończycy utworzyli specjalny komitet, którego głównym zadaniem jest badanie prawdopodobnego wpływu komputera w zautomatyzowanej produkcji na siłę roboczą. Wśród członków komitetu są przedstawiciele większych japońskich organizacji gospodarczych.

Z początkiem tego roku został utworzony w W. Brytanii komitet oparty na podobnych założeniach. Zjednoczone Królestwo ma już rozeznanie jak budować komputerową zautomatyzowaną fabrykę, lecz w tej chwili ani przemysł ani też rząd nie zapewniły koniecznych funduszy. Możliwe jest jednak, że W. Brytania mogłaby uruchomić komputerowe zautomatyzowane urzędzenia produkcyjne dla drobnych detali w ciągu najbliższych pięciu lub sześciu lat.

Komitet brytyjski, w skład którego wchodzi przedstawiciele Krajowego Laboratorium Techniki i różnych organizacji gospodarczych m. in. Vickers i

Rolls-Royce, przedstawi Departamentowi Przemysłu raport o socjalnych, ekonomicznych i technicznych skutkach zautomatyzowanej produkcji drobnych detali. Raport ma być przygotowany do końca roku, lecz są już obecnie pewne dane do ustalen, które mogą być w nim zawarte.

Na przykład BOC — jedna z organizacji reprezentowanych w Komitecie — jest przekonana, że najmniej prawdopodobne jest, by automatyzacja komputerowa mogła wyrzucić szkodliwy wpływ na perspektywy zatrudnienia. Wypowiada się o tym, że jakkolwiek komputerowa automatyzacja zmniejszy liczbę osób zatrudnionych w fabrykach, wprowadzenie jej zbiegnie się ze wzrastającym odpływem pracowników fizycznych z produkcji do usług. Pan Kovacs dodaje, że nowa technologia umożliwi zaoferowanie robotnikom fabrycznym o wiele lepszych warunków, „ponieważ będą to maszyny — które nie będą z ludzi wyciskać potu”. Przewiduje on, że nadejdzie dzień, w którym otoczenie i wnętrza wielu fabryk będą tak przyjemne, jak to jest w domu towarowym Marksa i Spencera w centrum Londynu.

Wskazuje jednak, że automatyzacja komputerowa spowoduje zwiększone zapotrzebowanie na personel kierowniczy. Jego zdaniem pracownicy kierujący będą musieli być znacznie liczniejsi i będą potrzebowali znacznie większej wiedzy o komputerach niż wielu z nich ją obecnie posiada. Zaznacza z naciskiem, że będą musieli być ludźmi szybkiej decyzji. Jest to związane z tym, że komputerowa automatyzacja umożliwi optymalizację wykorzystania parku maszynowego. Pełna automatyzacja w fabryce ułatwi zarządowi podejmowanie szybkich decyzji, ponieważ wiele potrzebnych informacji będzie szybko dostarczanych przez komputer. Na przykład komputer pomoże personelowi wykonać w dostosować propozycję produkcji do wahań w portfelu zamówień.

Komputerowa automatyzacja przyniesie znaczny wzrost wydajności produkcji, spowoduje to znacznie silniejszy nacisk na kierowników handlowych. Wskazuje, że tradycyjne narzekania kierowników handlowych, iż mogliby sprzedać znacznie więcej towarów, o ile tylko fabryki mogłyby je wyprodukować, przestaną być aktualne.

Komitet brytyjski dla zautomatyzowanej produkcji drobnych detali przewiduje oparcie swego raportu na analizie prac podjętych w Europie, Japonii i Ameryce. Komitet zamierza rozważyć możliwość powiązania zagranicznych badań i projektów rozwoju z potrzebami W. Brytanii w ciągu najbliższych dziesięciu lat. W tym samym czasie przewiduje się naszkicowanie przez Komitet zarysu programu perspektywicznego dla stopniowego rozwoju całkowicie zautomatyzowanego systemu dla produkcji drobnych detali.

Pewna liczba fabryk brytyjskich już obecnie stosuje numeryczne maszyny kontrolne, które są podstawowymi jednostkami potrzebnymi w komputerowej zautomatyzowanej produkcji. Te maszyny wykonują program, który został wcześniej opracowany przez kom-

Jak komputery zastąpią ludzi?

puter i są automatyczne, jakkolwiek taśmy programowe muszą być przygotowywane ręcznie.

Następnym krokiem po numerycznych maszynach kontrolnych jest wprowadzenie systemu DNC (direct numerical control) — bezpośredniej numerycznej kontroli przez komputer. System DNC umożliwia bezpośrednie podłączenie zespołu zwyczajnych numerycznych maszyn kontrolnych (10 lub 12 maszyn) do głównego komputera tak, że nie będzie już potrzebne ręczne ładowanie taśm programowych. Operatorzy pojedynczych numerycznych maszyn kontrolnych mają po prostu wycisnąć potrzebny im numer pracy na małej tablicy sterującej i nacisnąć przyciski „stop” i „start”.

Zadaniem ich będzie również śledzenie pracy maszyn dla upewnienia się, czy wszystko jest w porządku. Niektóre systemy DNC dają operatorowi możliwość wystukiwania słowa „pomoc” na tablicy sterującej w razie stwierdzenia nieprawidłowości.

W obecnej chwili okazuje się, że firma „GEC Machines” w Rugby jest jedną z nielicznych w Wielkiej Brytanii, która planuje zainstalowanie całego systemu DNC. Larry Wood, naczelny inżynier ds. rozwoju produkcji, wypowiada się, że firma zamierza wprowadzić ten system etapowo — w okresie pięciu lat. Zostanie on zastosowany do produkcji głównych składników maszyn elektrycznych, jak części łączące i szkielety. Będzie możliwe przy tym uproszczenie się z ciężarem do dwóch ton, z każdym rozmiarem, który mieści się w granicach dwóch metrów kwadratowych, a przy częściach łączących (wałach) — o długości do czterech metrów. Wood oblicza, że system DNC umożliwi podwojenie produkcji fabryki w stosunku do powierzchni hal fabrycznych i więcej niż dwukrotnie zwiększy wydajność pracy na jednego pracownika.

Jednocześnie firma „GEC Machines” będzie miała możliwość znacznego zmniejszenia stanu załogi fabrycznej, jakkolwiek Wood uważa, że nie przewiduje się, by to koniecznie musiało spowodować zwolnienia z pracy.

Przyjmuje się, że są dwa różne systemy już działające w przemyśle brytyjskim, przy których komputer kontroluje kilka numerycznych maszyn kontrolnych — w jednym przypadku cztery, a w drugim pięć maszyn. Programy komputerowe dla tych systemów zostały uprzednio opracowane przez Krajowe Laboratorium Techniki.

W Brytanii rozwija zatem dwa własne eksperymentalne systemy DNC — jeden na Uniwersytecie Salford a drugi w Krajowym Laboratorium Techniki w East Kilbride w Szkocji. Naukowcy z Uniwersytetu w Salford przewidują, że urzędzenia tego systemu znajdują się na rynku mniej więcej w ciągu następnego roku.

Ocenia się, że urzędzenia systemu DNC, przystosowane do kontrolowania do dwunastu maszyn, będą kosztować w kraju do 50 tys. funtów, jednakowoż cena ta może zmniejszać się w zależności od wymagań odbiorców. Zespół z Uniwersytetu w Salford uważa, że w wy-

padku gdy przedsiębiorstwo już stosuje numeryczne maszyny kontrolne, możliwe jest wprowadzenie systemu DNC w ciągu kilku godzin.

Inżynierowie z Salford prowadzą również badania technologii grup i produkcji w zespołach, gdyż oba te elementy są niezbędne do pełnej automatyzacji komputerowej. Technologia grup obejmuje zaklasyfikowanie części do różnych „rodzin” technicznych. Oznacza to, że zamiast linii produkcyjnych fabryka może być podzielona na małe komórki produkcyjne, w których każda byłaby oparta na odrębnej „rodzine”.

Produkcja w komórkach (zespołach) jest formą organizacyjną, która może być zastosowana w każdej fabryce, bez względu na to czy stosowane są w niej komputery lub numeryczne maszyny kontrolne. Jednakowoż przy połączeniu z systemem DNC wykwalifikowani pracownicy mogą stanąć wobec sytuacji, w której nie będzie potrzeby zatrudniania ich przez pełny czas pracy ponieważ praktycznie biorąc komputer wykona wszystko. Z drugiej strony wszystkie maszyny muszą być obsługiwane. Jedno z rozwiązań tego problemu wypróbują Norwegowie.

W Norwegii pewna liczba zespołów produkcyjnych kontrolowanych przez system DNC zostanie rozmieszczona na prowincji, wokół centralnej fabryki. Planuje się zlokalizowanie zespołów w odległych rejonach, w których nie ma odpowiednich punktów usługowych dla potrzeb domowych. Gdy nie będzie roboty dla maszyn w komórkach, zespół obsługujący będzie naprawiał lodówki i aparaty telewizyjne dla miejscowej ludności.

W fabryce zautomatyzowanej przy zastosowaniu komputera cała obsługa maszynowych elementów fabrycznych wykonywana jest przez roboty. Właśnie przez zastosowanie robotów następuje takie dramatyczne zmniejszenie liczby robotników potrzebnych do obsługi urzędzeń fabrycznych. Na równi z obsługą produkcyjnych elementów fabrycznych roboty mogą również naprawiać uszkodzone maszyny. Roboty mogą nawet wynajdować elementy uszkodzone i wymieniać w maszynie części zepsute.

Wprowadzenie komputerowych zautomatyzowanych fabryk nie jest zadaniem, które może być zrealizowane z dnia na dzień. Krajowe Laboratorium Techniki realnie ocenia, że przygotowanie pojedynczej fabryki wymagałoby kilku lat, co oznacza, że wprowadzenie komputerowej zautomatyzowanej produkcji na szeroką skalę będzie wymagać długiego i stopniowego procesu.

Juz teraz wydaje się pewne, że Japończycy będą mieli w ruchu w pełni zautomatyzowaną komputerową fabrykę około 1990 roku. Naciski rynku, potrzeba doskonalenia produkcji, a także ruchy siły roboczej uprawdopodobniają, że W. Brytania będzie musiała pójść w te ślady w niezbyt odległej przyszłości.

SUE CAMERON
(Financial Times)

U PRZYJACIÓŁ

Dzień 9 września jest w Bulgarii świętem narodowym — rocznica wyzwolenia spod faszystowskiej i zwycięstwa rewolucji socjalistycznej. W ciągu 33 lat budowania nowego ustroju nastąpiły ogromne przeobrażenia we wszystkich dziedzinach życia kraju. Z tej okazji zwrócić uwagę — co wynika z założeń tej rubryki — na wszechstronny rozwój i upowszechnienie kultury w BRL.

W spuście po rządach monarchofaszystowskich młoda republika ludowa otrzymała kraj zacofany pod każdym względem. Także w sferze kultury, mimo iż w Bulgarii przetrwały i były nadal żywe tradycje pracy oświatowo-kulturalnej prowadzone w latach osmańskiej niewoli i w okresie niepodległościowym. Praca ta opierała się przede wszystkim o społeczny ruch tzw. „czytalni” (czytelnie ludowe), w których to Bulgarzy kultywowali tradycje swego języka, kultury i obyczaju. Odsiedzioma w 1944 roku baza materialna kultury była jednak bardzo skromna i w większości wypadków zaczęto tworzyć ją właściwie od podstaw.

Jak przedstawia się ów stan po 33 latach budownictwa socjalistycznego? Bulgaria, kraj 9-milionowy, posiada obecnie ponad 20 tys. różnych placówek upowszechniania kultury. Są to placówki działające zarówno samodzielnie, jak i przy zakładach pracy, instytucjach, organizacjach społecznych i młodzieżowych.

Drugą imponującą pozycją to przeszło 13 tys. amatorskich zespołów artystycznych o różnorodnym profilu działalności. Zespoły gromadzą ponad 400 tys. członków, z których znaczna część kulturowo rodzimą pieśń ludową, taniec i muzykę. Obok „czytalni”, które są swego rodzaju domami kultury, gdyż łączą czytelniczo z ruchem artystycznym, istnieje ok. 6,5 tys. bibliotek.

W minionym trzydziściu laty imponująco rozwinęła się sieć zawodowych placówek artystycznych. Obecnie działa w Bulgarii m. in. 50 scen teatralnych (w tym 5 operowych), 7 państwowych orkiestr symfonicznych, 150 muzeów, liczące galerie sztuki itp. Stworzono prawie od nowa szkolnictwo artystyczne.

Wielką historię literatury bułgarskiej przygotowuje z okazji 1300-lecia powstania państwa bułgarskiego Instytut Literatury Bułgarskiej Akademii Nauk. To 12-tomowe dzieło przedstawi rozwój poimienictwa bułgarskiego od chwili jego powstania po dzień dzisiejszy. Ukazane zostaną w nim również związki literatury Bułgarii z literaturami bałkańskimi i słowiańskimi oraz innych krajów europejskich. Planuje się, że druk wszystkich 12 tomów zostanie ukończony po 1990 roku.

1300-lecie państwa bułgarskiego poświęcona jest także 3-tomowa encyklopedia o średniowiecznej literaturze bułgarskiej, związanej z działalnością Cyryla i Metodego. Zawierać ona będzie 950 haseł omawiających dorobek poszczególnych autorów, zabytki piśmiennictwa, ważne wydarzenia historyczne i kulturalne.

W październiku br. telewizjowie radzieccy z okazji 60-lecia Rewolucji Październikowej — obejrzą filmową adaptację wybitnego dzieła Aleksieja Tolstoja „Droga przez mękę”. Do realizacji tego ogromnego przedsięwzięcia reżyser Wasilij Odiński przystąpił w 1971 r. Ambicją reżysera było przeniesienie na ekran utworu Tolstoja bez skrótów i ograniczenia liczby występujących osób. 13-odcinkowy serial wyświetlany będzie w ciągu 13 kolejnych dni, a każda część będzie tworzyć zwartą dramaturgicznie całość.

W NRD trwają przygotowania do uczczenia 80 rocznicy urodzin wielkiego poety i reformatora teatru Bertolta Brechta. Przewiduje się realizację szeregu jego dzieł, jak również sympozyj i seminariów na temat twórczości. Ogółem na wszystkich czołowych scenach NRD przewiduje się inscenizację 20 dzieł artysty. Telewizja NRD nada retrospektywny cykl filmów wielkiego reżysera oraz telewizyjne opracowanie „Życia Galileusza”. Ukaza się również płyty długogrające z nagraniami przemówień, songów oraz prób teatralnych. Edytorzy przygotowują szereg wydawnictw m. in. „Brecht o teatrze”, „Brecht w rozmowach” oraz pisma poety o literaturze i sztuce, jego biografii, pamiętniki i notatki robocze. Związek Artystów Plastyków NRD zapowiada międzynarodową wystawę plakatów związanych z twórczością Brechta.

Międzynarodowa opinia publiczna z głębokim niepokojem przyjęła wiadomość, iż w Republice Południowej Afryki finalizuje się prace związane z wyprodukowaniem bomby atomowej. W związku z tym radziecka agencja TASS opublikowała oświadczenie, w którym stwierdza się m. in., iż broń jądrowa w rękach rasistów z Pretorii stworzyłaby najbardziej niebezpieczne zagrożenie dla bezpieczeństwa państw afrykańskich, spowodowałaby gwałtowną eskalację destabilizacji i napięcia na południu Afryki i zwiększyłaby zagrożenie jądrowe dla całej ludzkości.

Pieter Botha, minister obrony RPA, oświadczył, iż opanowanie energii atomowej w RPA prowadzi się w celach pokojowych, po czym, odsyłając dziennikarzy do oświadczeń, które już wcześniej złożył na ten temat — premier rządu RPA Vorster i minister spraw zagranicznych, Botha powiedział: „Jeśli chodzi o energię jądrową, to zarówno premier jak i min. spraw zagranicznych niejednokrotnie mówili o pokojowych zamierzeniach RPA. Nie mam więcej nic do dodania”.

Przyczynkiem do tego oświadczenia ma być rzekomo fakt, iż rok temu Komisja do Spraw Energetyki RPA zawarła kontrakt z francuskim konsorcjum „Framatom” — „SPIA” — „Batignole” — „Alstom” na sumę miliardów dolarów na budowę pierwszych w RPA elektrowni atomowych. Te dwie elektrownie atomowe mają wytworzyć 2 miliony kilowatów energii elektrycznej dla potrzeb Republiki Południowej Afryki. Nawiasem mówiąc, Francja udzieliła kompanii górniczej w RPA pożyczki w wysokości ponad stu milionów dolarów na unowocześnienie kopalni uranu. Ale tego Botha już nie powiedział.

Jądrowy program Republiki Południowej Afryki był zawsze osłonięty tajemnicą, a jego istnienie może być uwarunkowane tylko względami politycznymi i wojskowymi. Argument, że chodzi tu jedynie o rozwój energetyki jądrowej w RPA jest manewrem, osłaniającym zupełnie inne zamierzenia rządu Republiki Południowej Afryki. Budowa elektrowni atomowych kosztuje czterokrotnie więcej niż budowa elektrowni pracujących na węgiel. Południowoafrykański węgiel jest bardzo tani, jego cena kształtuje się w granicach 3 dolarów za tonę, w porównaniu z 9 dolarami za tonę w Stanach Zjednoczonych i 60 dolarami w Republice Federalnej Niemiec. Dlatego też budowa elektrowni jądrowych w RPA, jako źródła energii elektrycznej, nie może być uwarunkowana względami ekonomicznymi. Tym bardziej iż Republika Południowej Afryki dysponuje ogromnymi pokładami węgla kamiennego, którego ilość ekspertyzy szacują na tysiąc lat!

W rozwijaniu przemysłu jądrowego RPA, wiodącą rolę ogrywa zachodnie kraje członkowskie NATO, które w słowach potępiają rasistowską politykę RPA, ale de facto działają na

ręcz umocnienia rządu w Pretorii i rozwoju przemysłu zbrojeniowego. Ostatnimi czasy, pomoc ta, głównie w zwiększaniu potencjału jądrowego, wzbudza coraz większe zaniepokojenie światowej opinii publicznej. Pomoc ta ma już swoją historię. Kilka lat temu, członek Komisji Energii Atomowej RPA, A. Visser, wysunął propozycję stworzenia w Republice Południowej Afryki arsenału jądrowego nie tylko ze względów prestiżowych, lecz także — a być może przede wszystkim — dlatego, że „Republika Południowej Afryki — jak powiedział Visser — powinna mieć taką bombę jądrową, żeby zapobiec atakom ze strony krzykliwych krajów afroazjatyckich”. Te propozycję podchwyciły zaraz południowo-

znacznie większą rolę w sprawach międzynarodowych, niż odgrywają obecnie. Niekiedy z tych wpływowych osobistości pozostają w cieniu, niemniej wysokie stanowiska jakie zajmują, pozwalają im na wywieranie wpływu na sterowanie polityką. Najbardziej znanym działaczem tej grupy nacisku jest F. Josef Strauss. On to w latach pięćdziesiątych był ministrem obrony i energii atomowej w ówczesnym rządzie zachodniemieckim. Akurat w tym czasie rząd RPA zaczął po raz pierwszy nawiązywać kontakty w Europie. Strauss odbywał częste podróże do RPA i niejednokrotnie po powrocie stamtąd chwalił system panujący w tym rasistowskim kraju. Otóż w przemyśle zachodniemieckim kluczowe stano-

KTO PŁACI ZA BOMBĘ DLA VORSTERA?

afrykańskie gazety i wpływowi politycy RPA z byłym premierem rządu na czele.

Bez pomocy z zewnątrz, RPA nigdy by nie miała takiego potencjału jądrowego, jakim dysponuje dzisiaj. Wszystko zaczęło się w 1949 roku, kiedy to w RPA powołano do życia Urząd Energii Atomowej. Trzy lata później wybudowano już pierwszą fabrykę wzbogacania rudy uranowej. W owym czasie pracami w tej dziedzinie kierowały Stany Zjednoczone. Komisja Energii Atomowej USA umożliwiła południowoafrykańskim inżynierom i naukowcom korzystanie z amerykańskich urządzeń technicznych. Kontakty te rozwijały się konsekwentnie, jednak w pewnym momencie USA przestały być głównym naucelem, czy też partnerem, RPA w tej dziedzinie i powstała próżnie wypełniona niebawem zachodniemieckie instytucje naukowe ograniczając się wyłącznie do prac badawczych.

Zapasy uranu w RPA szacuje się na około 163 tysiące ton, poza tym około 100 tysięcy ton uranu kryje ziemia Namibii. Dysponując taką ilością uranu, RPA kontroluje ponad 20 procent światowych zapasów tej poszukiwanej kopaliny. Oprócz tego do złóż uranu należy też zaliczyć produkty uboczne z kopalni złota. Jeśli dodać do tego, że RPA będzie miała swój własny system przeróbki uranu, to wówczas rysuje się wyraźnie ów schemat tajnej działalności RPA w tej dziedzinie: cały cykl produkcyjny od wydobycia rudy uranowej aż po produkcję bomby atomowej. Komentator londyńskiego pisma „Africa” twierdzi, że właśnie dlatego RPA niejednokrotnie odrzucała żądanie, żeby jej kopalnie uranu i fabryki wzbogacania rudy uranu oddać pod międzynarodową kontrolę.

Nie jest tajemnicą, iż w Republice Federalnej Niemiec działają wpływowe siły, którym zależy na tym, żeby Zachodnie Niemcy odgrywały

wiska zajmuje wielu ludzi działających na wzór i podobieństwo Franza Josefa Straussa.

Kraje członkowskie NATO, wbrew embargo na wózw broni do RPA, okazują pomoc wojskową militarnemu systemowi Republiki Południowej Afryki, odpowiada to bowiem ich imperialistycznym interesom w tym rejonie świata. I właśnie w tym sensie, Zachodnie Niemcy, zezwalając na eksport do RPA swojej technologii jądrowej, działają w interesie atlantyckiego przymierza i przyjmują na siebie rolę kozła ofiarnego w międzynarodowej opinii publicznej. W październiku 1975 roku nawet komentator „Spiegla” przyznał: „Nie ulega wątpliwości, że działalność wojskowych w Zachodnich Niemczech omawiają i aprobują sojusznicy RFN w NATO”.

Związek Radziecki domaga się niezwłocznego podjęcia efektywnych kroków w celu niedopuszczenia do wyprodukowania w RPA broni jądrowej. Ostrzeżenie ZSRR pod adresem rasistowskich liderów RPA i tych sił na Zachodzie, które okazują reżimowi Vorstera wszechstronne poparcie, żąda od międzynarodowej wspólnoty energicznych działań.

Warto na koniec wspomnieć, iż londyński „Observer” przytoczył informację w sprawie przygotowań RPA do próby wybuchu jądrowego jest związana z tajnymi dokumentami, które zgineły w niewytłumaczony sposób w ambasadzie RPA w Zachodnich Niemczech. Podobna kradzież miała już miejsce niecałe dwa lata temu. Poprzednia spowodowała zwolnienie z zajmowanego stanowiska przedstawiciela RFN w Wojskowym Komitecie NATO, gen. Ralla, za to, że odbył w tajemnicy podróż do zakonspirowanych środków badań jądrowych w RPA, nie mając do tego rzekomo żadnych upoważnień. Większa część tych dokumentów znajduje się obecnie w rękach Afrykańskiego Kongresu Narodowego z siedzibą w Lusace.

JERZY CZECH

OBOPÓLNA WOLA WSPÓŁPRACY BEZ ZMIAN CZY Z KOREKTĄ? NADAL W RUCHU

Przed laty komentator „Washington Post” pisał: — Nie ma co pytać, kiedy Iran stanie się mocarstwem. On nim już jest.

Od tej pory naturalne bogactwo kraju, jakim jest ropa, powiększyło jeszcze znacznie strumień dolarów, płynący ze sprzedaży cennego i coraz droższego paliwa. Iran środki te mądrze wydrukaje — na uprzemysłowienie kraju. I to jest drugi powód, dla którego zajmuje on poczesne miejsce.

Wzajemne stosunki Polski i Iranu liczy się już wiekami. W ostatnim okresie są one szczególnie żywe. Wizyta szachinszacha Mohammada Reza Pahlavi Aryamehr i cesarzowej Farah Pahlavi w naszym kraju jest więc naturalnym następstwem kontaktów, jakie utrzymujemy. I będzie na pewno dobrze służyć dalszemu ich rozwinięciu. Podpisaliśmy przecież wieloletnią umowę o rozwoju współpracy gospodarczej i przemysłowej oraz program wymiany kulturalnej. Dokumenty te świadczą o obopólnej woli poszerzenia wzajemnie korzystnych kontaktów.

Tematem rozmów polsko-irańskich była również sytuacja międzynarodowa.

wa: wpływ Aktu Końcowego KBWE na ustanowienie trwałego bezpieczeństwa i rozwój współpracy w Europie i innych częściach świata, rozbrojenie, a zwłaszcza uniwersalizacja układu o nierozpowszechnianiu broni jądrowej, problemy Bliskiego Wschodu, konieczność rozwiązania nabrzmiałych problemów dekolonizacji na południu Afryki, a także ustanowienie nowych, sprawliwych stosunków ekonomicznych w świecie.

Dostojni goście przyjmowani byli w Polsce z wielką serdecznością. Wyrażał się w niej szacunek dla kraju, który szybko zmienia swe oblicze i na drodze uprzemysłowienia uszedł już daleko.

Rozpoczęliśmy przegląd aktualności od wydarzeń krajowego, a teraz proponujemy przeskoczyć na Daleki Wschód — do Chin.

W dniach od 12 do 18 sierpnia, o czym jak zwykle oficjalnie poinformowano po fakcie, w Pekinie obradował XI Zjazd Komunistycznej Partii Chin. Zalegalizował on Hua Kuo-fenga jako przewodniczącego partii. Dokonał wyboru Komitetu Centralnego, który następnie wybrał Biuro Polityczne i jego stały pięćosobowy komitet. Wytoczono zadania

na najbliższe lata oraz dokonano zmian w statucie KPCh.

Na pewno długo referat polityczny, dyskusja i postanowienia zjazdu będą przedmiotem wielopłaszczyznowych zainteresowań obserwatorów życia w Chinach i komentatorów. Nas jednak dziś interesuje przede wszystkim, czy zjazd wniesie jakąś korektę do polityki zagranicznej Pekinu?

Odpowiedź na to pytanie nie jest prosta — można jednak zaryzykować twierdzenie, że nie. Hua Kuo-feng zapowiedział bowiem kontynuowanie „rewolucyjnej linii przewodniczącego Mao w polityce zagranicznej”, co oznacza podtrzymanie w pełni dotychczasowego kursu. Mówił o konieczności maksymalnego zjednoczenia wszystkich potencjalnych sojuszników i wykorzystaniu wszelkich możliwości do walki przeciwko „głównym wrogom”. Zaatakował znów Związek Radziecki, podkreślając, że w „długim okresie czasu” rozbieżności ideologiczne na pewno nie znikną, a stosunki między partiami pozostaną zamrożone. Jednakże — i to wypuklają komentarzy — Hua Kuo-feng nie wykluczył podobno możliwości poprawy stosunków na płaszczyźnie państwowej. Czy jest to przypuszczenie słuszne — wykaże czas. Dodajmy tylko, że ZSRR taką gotowość zgłaszał wielokrotnie.

Tuż po zjeździe KPCh gościem Pekinu był sekretarz stanu C. Vance, a następnie z oficjalną wizytą przybył do stolicy Chin J. Broz-Tito. Być może, iż rozmowy chińskich przywódców z ich gośćmi posiądą pe-

POKOLENIE „TELEMAMY”

Amerykański uczony dr A. K. Nielsen, który prowadzi badania socjologiczne na zamówienie amerykańskich kompanii telewizyjnych, stwierdził, że dzieci do lat pięciu spędzają przed ekranami telewizyjnymi średnio 23 i pół godziny tygodniowo. A zatem dzisiejszy absolwent amerykańskiej szkoły średniej strawił przed telewizorem co najmniej 15 tysięcy godzin, czyli więcej niż poświęcił na jakiegokolwiek inne zajęcie, poza snem. Przy znanych ogólnie, popularnych „teledozach” reklamy i przemocy był on w ciągu tego czasu świadkiem 18 tysięcy zabójstw! Wniosek jednoznaczny: najsilniejszy wpływ, poza rodzicami, na kształtowanie charakteru, na przekonania i obyczaje młodzieży wywiera telewizja.

Czarno białe, czy kolorowe okno na świat przynosi oczywiście i pewne korzyści. Dzieci ery telewizyjnej orientują się w znacznie szerszym kręgu problemów, niż ich poprzednicy. Niemniej ogólny wniosek opracowany na podstawie ponad 2300 badań i sprawozdań jest wyraźnie niekorzystny dla telewizji. Specjalista w dziedzinie psychologii dziecięcej z Uniwersytetu Waszyngtońskiego, Michael Rotenberg, po przeanalizowaniu 50 badań, którym objęto 10 tysięcy dzieci stwierdził, iż sceny przemocy sprzyjają agresywnym dzieciom skłonności agresywnym. Telewizyjna mania tłum w dzieciach tworzący wyobraźnię. Uczenci z Uniwersytetu Południowo-kalifornijskiego przez trzy tygodnie z rządu sadowili przed telewizorami grupę 250 wybitnie uzdolnionych uczniów klas początkowych. Testy ujawniły obniżenie dążeń twórczych tej całej grupy uczniów. Specjaliści w dziedzinie wychowania przedszkolnego podkreślają, że dziecięce zabawy stały się obecnie mniej pomysłowe i oryginalne. Prof. S. Worcheł z uniwersytetu w Wiganiu stwierdza iż dzieci przestały robić sobie zabawki z byle czego, jak to robili dawniej, nie grają w klasy i nie wymyślają własnych zabaw. Wszystko co robią wynika z „podpowiedzi” telewizji. Duże dawki przekazów telewizyjnych w wieku wczesnodziecięcym mogą wyrobić w dziecku „pozyce postrońnego obserwatora”. Telewizja uczy pasywności — uważa inny amerykański uczyony, Paul Kaufman, z uniwersytetu w Stanford.

Przyzywając się, iż wszystkie problemy rozwiązuje się na ekranie telewizyjnym w przeciągu 30 lub 60 minut, „pokolenie telewizyjne” wykazuje zniecierpliwienie i brak zrozumienia dla trudności wynikających z procesu poznania. Uczniowie szybko tracą zainteresowanie dla wszelkiej działalności, która nie rokuje szybkich wyników. Jeśli jakies zadanie wydaje im uczniom trudne, czy nabiegają im łzami; chciałoby żeby wszystko było tak łatwe do rozwiązania, jak na ekranie telewizora.

Ciekawe są opinie na temat telewizji. Oto jedna z nich, zamieszczona na łamach tygodnika „Readers Digest”: mówi 11-letni uczeń z Denver: „Na ekranie jest tyle przemocy, że traci ona sens. Jeśli kiedykolwiek zobaczę że kogoś zabijają naprawdę, to zrobi to na mnie bardzo małe wrażenie. Myślę, że zahartują mi się nerwy”.

(C)

niejszemu wyjaśnieniu polityki zagranicznej Chin po XI Zjeździe partii.

A teraz powróćmy do Europy — na Półwysep Iberyjski.

W Hiszpani trwają prace nad projektem nowej konstytucji. Mimo że obciążone są one tajemnicą — na łamy prasy przeniknęły informacje, z których wynika, iż Hiszpania miałaby być konstytucyjną monarchią z niezależnym od króla premierem rządu. Byłby nim przedstawiciel partii, mający największą liczbę swych przedstawicieli w Kortesach. Według tych samych źródeł — deputowani komunistyczni i socjalistyczni domagają się, aby w projekcie słowo „monarcha” zastąpione zostało formułą: „szef państwa”.

Nowym wydarzeniem w Portugalii jest przedstawienie przez premiera Soaresa dalszych oszczędnościowych posunięć, zwanych „pakietem ekonomicznym nr 2”, który to fakt jest publicznym przyznaniem, że dotychczasowa polityka gospodarcza oparta głównie na zwiększaniu zadłużenia wobec zagranicy, nie przyniosła rezultatów. Soares zaapelował o swego rodzaju plan Marshalla dla krajów Europy południowej.

„Pakiet ekonomiczny nr 2” wprowadza płynny kurs escudo, zapewnia redukcję pracownikom i zamykanie nierentownych przedsiębiorstw, hamuje niektóre inwestycje oraz ogranicza zużycie benzyny i paliw. Jak widać, i w Hiszpani i w Portugalii trwają wciąż procesy, które mogą kształtować ich przyszłe oblicze.

KSIĄŻKI W DRUKU

Dalszy ciąg ze str. 1

O takich rodzinach jak nasza mówi się, że są jak korzenie jednego drzewa. My, Wadasowie, robotnicza rodzina z ulicy Stawowej odpowiadaliśmy dość wiernie takiemu wyobrażeniu. Ja oczywiście mam swój pogląd na tę sprawę, ale w zasadzie nie mam zamiaru burzyć powszechnego mitu. Nie ze względu na siebie czy swoją rodzinę, ale w imię zasad, które mnie wprowadziły nie porywają, lecz jednak są czymś oczywistym. Po prostu są, a to, co się im przeciwstawia, jest mgliste, nie sprawdzone, jak zawsze kiedy zdobywcze przeszłości chce się zastąpić życzeniami.

Wolę więc, nie lekceważąc sentymentów, nasze twarde stapanie po ziemi. Może nawet zbyt przypominające chód masywnego niezgrabiasza, rozkolebane kroki, gesty zbyt zamasyżowane, układy życiowe narysowane zbyt prosto, żeby nie rzec — prostactwo. Wolę to od rytualnych zabiegów, gry pozorów, śliskich wykrętów, które pasują na każdą okazję. Bo nienawidzę usprawiedliwienia wszystkiego w imię celów, które mnie nie przekonują bez reszty. A ta prostota postępowania sprawdziła się od pokoleń swoją żywotnością, była skuteczną obroną przed światem niezgorzej pokotowanym.

Jacy jesteśmy? Chociaż wątpię, czy Władysław Wadas, mój ojciec, moja matka Jadwiga, moi bracia: starszy o pięć lat Franciszek i młodszego Bolek, oni wszyscy i każdy z osobna — zadają sobie podobne pytania. Przyznam się, że czasami chciałem im takie pytanie zadać, skłonić ich, by spojrzeli na siebie z boku (jak ja czasami nas widziałem) i zmusić do samookreślenia. Jednak brakowało mi odwagi, albo raczej przyzwyczajenia brała górę ciekawość. Ostatecznie nie ich wyobrażenia o sobie coś znaczą, lecz ich życie, tysiące ważnych i drobnych faktów, reakcji, decyzji i najwykolejonego popychania dni w tygodnie, miesiące i lata.

Wczoraj zebraliśmy się wszyscy Wadasowie. Wszyscy, chociaż była jeszcze jedna kobieta nosząca to nazwisko: Eliza. Wiedziałem jednak, że to nie jest jej miejsce. Nie tego dnia, na pewno. We wszystkie pozostałe, owszem, chociaż nie mogło z tego wypłynąć. Nosila moje nazwisko, ale ten dom, nie mógł być jej domem. Wiedziałem o tym i nie chciałem niczego w tym układzie przedstawiać.

O takich spotkaniach jak tego wieczoru, mówi się jako o pożegnaniach kolacji. Oczywiście to moje określenie, starszy by tego tak nie nazwał, nie znał chyba tego określenia. Mnie też bardziej przypominałoby stypę. Ot, po prostu, jak rzadko, wszyscy zebraliśmy się przystole, z ostrożną nadzieją starych, że coś w mojej decyzji zmienia, odwróca ją w ostatnim momencie, jeśli ich słowa trafiły na podatny grunt.

— Ja ci, Julek, nie nie radzę, ale... — powtarzał już któryś raz z rzędu ojciec. Pochylał, z lekkim przekrzywieniem głowę nad stołem, jakby przyglądając na prawe ucho i nadśledzając od mojej strony. Patrzał w stół, dnem kieliszka rysował jakieś znaki na ceracie upstrzonej kolorowymi kwiatkami. Bolek, ruchliwy, świński blondynek, który rzucał w rogu stołu, rzucał mi porozumiewawcze spojrzenia nad jego pochylony barkami. Franek trzącał mnie nosą, ale szeroka twarz miał taką samo obłudnie zamkniętą i przytakiwał, kiedy ojciec kończył kwestię. Matka kręciła się po kuchni, była bardziej tam zajęta garnkami, ale przez otwarte drzwi dorzucała uwagi do rozmowy w najmniej spodziewanym momencie.

— Odkąd skończyłeś swoje lata, nigdy ci niczego nie narzucałem. Z radą też byłem ostrożny, bo namówię drugiego łatwo, a potem świeć człowieku oczami... Aa — zatchył szeroki łuk dłoni, na szczęście kieliszek był pusty — nawet jako chłopak nie za bardzo nas słuchałeś.

— Pasa tylko słuchać — wtrąciła surowo matka od kredensu pobrzękując naczyniami, ale przez tę udaną oschłość przebiegało ciepło. Franciszek zarechotał swoim basem, nigdy nie obserwowałem u niego stanowisko pośrednich: jak się śmiał, to na całe gardło; Bolek tylko parskał w dłoń zwiniając przy ustach. Boże konie, jak szybko zapomnieli. Ile pasów strzelił ojciec na grzbiecie Franka, nim wyniósł się z domu do teściów. A krzyki Bolecia jeszcze przed tygodniem wierciły mi uszy. Zareagował w taką wesołość, bo ojciec nigdy mnie nie bił, zostawiając matkę sąd i wykonanie wyroku. Dobrze robił, bo matczyne bicie, wcale nie łagodniejsze, nie wywoływało we mnie odruchów buntu. Wrzeszczałem tylko jak zarzynane prosię pozorując strach i ból, by jak najszybciej stało się zadość domowej sprawiedliwości.

— Ja cię w każdym razie z domu nie wypędzam — ojciec znów powtórzył swoje. — A ty Franuś nie pij, już masz dość.

— Zatrzesz nam, i to w takiej chwili. Sknera zawsze ojciec był, i tyle.

— Jutro masz ranną zmianę i ja też. A ty Bolek powinienes być już w łóżku. Matka zrób no trochę porządku w tym domu.

— To ja już pójdę. — Franciszek demonstracyjnie, ale niezbyt ochoczo podniósł się od stołu. Był ode mnie starszy zaledwie o pięć lat, a przypominał młodszego brata ojca. Nie tylko kwadratową sylwetką, zamasyżowanym gestem, ale brzmieniem głosu, podobnym grymasem ust. I dłonie duże, szerokie, szorstkie i czerwone, jak tarcze z korundu, mieli jednakowe. Franek wstał i wreszcie wyduślił z siebie to, co

ma rodzinę i swoje kłopoty... Mógłbyś sprowadzić tę swoją żonę — nie powiedział Eliza, bo to dla niego było jakieś dziwne imię. — Trzech was wychowaliśmy, całe życie tu żyjemy, to i wy tu na prawdziwe mieszkanie parę lat możecie poczekać.

Siłą powstrzymałem śmiech, by ojca nie uraził. On także był wyraźnie zakłopotany wypowiadając te słowa. My z Elizą w tym mieszkaniu przez kilka lat? Kiedy sam hel w mieszkaniu Czerniewskich był mniej więcej równy powierzchni całego naszego mieszkania, składającego się z dość niebezpiecznego pokoju i maleńkiej kuchni, gdzie na razie mogło się zmieścić nie więcej niż dwie osoby.

które od początku pracy w „Union-texie” tkwiło we mnie jak zadra. Dawno to było? Trzy miesiące, nie więcej, kiedy tego dnia przypadkowo razem wychodziliśmy z fabryki.

Mijając długi, piętrowy biurowiec gdzie mnie codziennie starannie obzukiwano (ojciec jako „zasłużony pracownik” był z tego obowiązku zwolniony) stary rzucił kilka słów tak od niechcienia, a potem przycepił się do tej myśli, mimo że zsiłymi pod wiatr i śnieg igielkami lodu sypał nam prosto w twarz.

— Za dużo tu ich, chłopcze, inżynierów, techników, różnych takich. Za duża fabryka w ogóle, żebyś się przedko przebił. A widzę, jakis niecierpliw, i ta twoja żona też pewnie myśli, że jak ma męża inżyniera zaraz wielką panią zostanie. A wie, że od jej ojców nie weźmiesz...”

Do tego miejsca byliśmy zgodni, i co do tego brania i własnej kariery. Słowo w słowo tak samo myślałem. Zrozumiałem że już po kilku miesiącach stażu. Tylko rozmijaliśmy się we wnioskach. Ojciec to widział po swojemu, bardziej prosto:

— Zjemy na szczęście w dużym mieście, fabryk zatrzęsienie. Jak ci dadzą papierek, żeś po praktyce, to rozejrzyj się. Na mój rozum, to najlepiej patrz za jakimś małym zakładem. Jak tam sobie swoje miejsce znajdziesz, to cie nikt z niego nie zepchnie. Ja w ciebie wierze, że jak się na tobie poznają, to szybko w górę pójdziesz. Po mnie masz smykalkę do techniki. Wiesz, jak sobie daje radę, chociaż żadnych szkół nie pokończyłem”.

On tak potrafił w dwóch słowach zawrzeć kawał swojego życia, spartego trzymania się na powierzchni, żeby jakoś przeżyć, nakarmić pięć gęb, potem żyć odrobinę lepiej, coraz lepiej i już zupełnie dobrze w porównaniu z tym czasem, kiedy tu przywdrował z podłęczycykiej wsi. Tak właśnie w dwóch słowach potrafił zamknąć epokę. Bulwersowały mnie takie skróty, widząc całe ciężkie życie wypisane na przedwczesnie wyblakłej pergaminowej twarzy, gruzłowatych dloniach, w oczach, które wszystko rozumiały, a nie chciały dać żadnego znaku.

Takie więc było to wspomnienie, kiedy ja chciałem sięgać w historię. Miałem ją tuż obok żywa, chodząca, najprawdziwszą z prawdziwych: mojego ojca. A on odsyłał mnie do książek. Do książek, które powstały dzięki takim jak on, Władysław Wadas, były mistrz na tkalni, obecnie brygadziści brygady remontowej, po wielu latach kierowania dziesiątkami ludzi, znów robotnik w wysznelcowanym kombiniezonie.

Jak trudno było od niego wyduścić najprostsze zwierzenie, wymusić wprost odpowiedź na pytanie: dlaczego nie wykorzystał swojej szansy? „Roboty pilnowałem, chłopcze, — mówił z jakimś niezrozumiałym dla mnie zawziętością — roboty, a nie swoich spraw. Od polityki stroniłem, bo wszystko po wojnie się pokręciło. Za sanacji w klasowym związku byłem, owszem. Kto był nasz, a kto przeciwnik — wszystko było jasne. A po wojnie się nie mogłem połapać. — I machnąłem ręką. Do niczego mi to było niepotrzebne. Wreszcie...”

Wreszcie była praca przez sześć dni w tygodniu. Nie wysiadywałem w domu na zaśliku, zacząłem żyć jak człowiek. I swoje osiągnąłem, więcej nie chcę... Daleko nie zaszedłem — śmiał się w dziwny sposób, bo z goryczą i satysfakcją jednocześnie — za stary byłem do nauki. Przez kilka kursów mnie siłą przepchnęli, po tych moich pięciu odziałach. A młodzi, owszem, nawet za techników, inżynierów się wyuczili. Nie zazdrościłem im. Jak nie było ludzi, mistrzowałem, nie najgorzej, żebyś wiedział. Teraz remontuję maszyny i cieszy mnie to, bo żadnych tajemnic przede mną nie ma nawet najstarszy gruchot, te krosna co jeszcze pamiętają dziecinnie wieki... Przyjrzałeś się chyba, jak to jest na tkalni. Baba ci nitkę złapie, jak się jej zerwie, supełek zgrabnie zawiąże. Ale jak maszyna stanie, nie obędzie się bez nas z remontowego”.

Musieliśmy się zgodzić z jego stanowiskiem. Ojciec miał swoje własne poczucie wartości, hierarchie celów i sposoby postępowania „na okoliczność”. Było to dla niego tak oczywiste, jak to, że po nocy nastaje dzień. Nie miałem prawa, żeby podważać układ, który jak wysokie sklepienie obejmował dziesiątki lat doświadczonych zakarbowanych na skórze trwale i nieodwracalnie. Mogłem tylko wyciągnąć własne wnioski, w to przetrawione podglebie posiadać własne ziarno — nasienie, jeśli już trzymać się porównań do praw przyrody. On mi jednocześnie wskazywał drogę, na którą sam już nie miał szansy wstąpić. Jakby ta jego szansa została przeniesiona na moje barki, złożona w moje ręce. Wszystko było w porządku, kiedy byłem uczniem technikum, studentem politechniki. On tylko mógł czekać, żeby skromne sumy na moją edukację, obruszać się, kiedy próbowałem zarabiać, co podtrzymywało budżet

rodzinny, ale odciągało mnie od głównego celu. A teraz wstawiając mi niecierpliwosć, ponaglał mnie, popychał według swojego przekonania, wskazując najłatwiejszą drogę. Zapominając, że jak on jest moim ojcem, tak ja jestem jego synem i proponowane rozwiązanie jest dla mnie nie do przyjęcia. Bo byłem przekonany, że sprzeciwiając się własnym zasadom popełniłbym jakąś małą zdradę wobec zasad, które kierowały jego życiem. Zasad, być może już mu nieprzydatnych, bo jego miejsce w życiu było określone praktycznie do końca, ale tak czy inaczej, było wartościową, którą my trzej: Franciszek, Bolek i ja, jego synowie, powinniśmy ocalić i przekazać w dziedzictwie jego wnukom.

— Chodźmy spać, synu, już późno, — westchnął ciężko, niezadowolony ze mnie i z siebie. Bolek cię odpro-wadzi rano na stację. Ja się nie chciałem zwalniać. Zresztą nie lubię tego.

— Ja też nie lubię pożegnać — dajcie się chłopcu wypasać.

— Tu masz koszule — powiedziała matka — będziesz sobie teraz sam prał. Niewielka sztuka, prasa-wać nie trzeba.

— Przez parę miesięcy... mamo. Nie martw się, Eliza już od pierwszego lipca będzie z mną w Kamieńcu.

— Daj Boże — powiedziała swoje, chociaż byłem pewien, że nie chce mi sprawić przykrości. — Jak dostaniecie mieszkanie, przyjdzie na świat dziecko, to do was przyjadę na jakiś czas. Kasia i Piotrek — miała na myśli dzieci Franciszka — już do szkoły chodzą, babka im do niczego niepotrzebna.

— Chcesz mnie zostawić na stare lata, Jadziu — zaśmiał się ojciec — sprawdziliwe to? No, powiedz, Julian.

Nie nie odpowiedziałem, nie podobno mi się jego ożywienie, sztuczna wesołość. Nie umiał udawać, bo nawet jego milczenie, które sobie narzucał w ciężkich chwilach mówiło wszystko.

Leżałem na swoim tapczanie w rogu przy oknie. Wiatr trząkał gdzieś w ulicy niedomkniętą okiennicą, dochodziły mnie głosy robotników wracających z popołudniowej zmiany. Ale nie to nie pozwalało mi zasnąć. Ojciec pochrapywał w łóżku, zawsze miał dobry sen, a co dopiero po tych kilku kieliszkach wódki. Nie mogłem usnąć, bo już mnie jutrzejszy dzień wziął w swoje objęcia, jak w kleszcze. I nie był to zwykły niepokój przed podróżą, jaki zawsze odczuwałem. Nawet nie obawa przed pożegnaniem na dworcu z Elizą, lecz jakby przeczucie, że tą decyzją otwieram przed nami okolicę, w której się pogubimy.

Eliza, moja wspaniała, najuczowniejsza Eliza, która lubiła zabawę w słowa, posługiwała się nimi ze zręcznością ekwilibrysty, zareagowała najpierw śmiechem, jakiego u niej nie słyszałem, a kiedy upewniła się, że nie żartuję, kiedy przedłożyłem swoje argumenty i zażądałem jej deklaracji, wprost wybuchnęła krzykiem, który zmienił się wkrótce w histeryczny płacz.

„Nie kochaasz mnie już, nigdy mnie nie kochałeś. Chcesz się mnie pozbyć... Chcesz żebyś została domową kuchnią, twoją służącą... Mam się zakopać w jakiejs dziurze, w jakimś koszmarnym Kamieńcu... Po co studiowałem? Będę tam robić dekoracje sklepowe, albo uczyć w szkole rysunków?... Wiem, że mam talent, ale szansa jest dla mnie tylko w dużym mieście. Sam to doskonale rozumiesz, co znaczy dla malarza kontakt ze środowiskiem, ze sztuką... Po co mi teraz mam odwagę coś takiego mi proponować. Moi rodzice nigdy się na to nie zgodzą... Nie chcę nawet słuchać o takich bezdurach. Na szczęście jestem wolnym człowiekiem”.

Słuchałem tego w przygnębieniu i słysze nadal te słowa w każdej chwili zamyślenia. Jak trudno odmówić im racji, bo były prawdziwe, będąc jednocześnie kłamstwem. To znaczy, że ja miałem rację, Eliza miała swoją rację i swoje do niej prawo. Traktuję innych ludzi poważnie, dlatego miałbym inaczej traktować poglądy własnej żony. Wierzyłem jednocześnie od początku, że wszystkie bariery, jakie między nami istnieją, powoli, wspólnym wysiłkiem i wzajemnymi ustępstwami pokonamy. Ze stulecia odowego czasu przepaść między nami czas zasypie, połaczy te dwie odległe od siebie krawędzie tak, że śladu po niej nawet nie zostanie — jak po małej bliźnie. Wierzyłem w to od początku do końca, o którym w owym czasie nie potrafiłem nie sensownego powiedzieć. Była to oczywiście tylko wiara, kredyt zaufania jak zawsze, kiedy się wierzy w uczucia drugiego człowieka. Ale miałem i poważne argumenty, wprost dowody, bo przecież od momentu naszego poznania wszystko było przeciw nam — a jednak Eliza od roku nosiła podwójne nazwisko.

(d.c.n.)



przez cały wieczór nie dawało mu spokoju i gniotło jak kamień, bo od lat dla świętego spokoju zrezygnował ze sprzeczek z ojcem.

— Ja ci też nie nie radzę, Julian, ale masz rację, że się stać wynosisz. Ja bym z ochotą rzucił bombę na ten diabolski majdan i wyniósł się w diabły. Ale wiesz co może człowiek żonaty i dzieciaty. Czekał pięć lat na mieszkanie, to już muszę przemordować resztę. Jedź, chłopie do tego Kamieńca, z twoją szkołą nie zginięsz... No, rozcumurz się, ojciec — poglądził go po ramieniu — wstydu nam nie przyniesie — wyszczerzył białe zęby w moją stronę. — Nie przyniesiesz, prawda, inżynierku?

— Jak te dwa kółki zostaniemy — wtrąciła matka znowu, tym razem, co było do niej niepodobne, z płaczącą nutą.

— Ciężki frajer — mruknął ledwo dostrzegając Boleka — wróci jeszcze, mamo, na twój garnuszek, jak mu bieda dokuczy.

Zrobiło się małe zamieszanie. Franciszek spojrział surowo na najmłodszego, skarcił go tylko spojrzeniem. Nic już nie dodał i trzepnął mnie kilka razy po plecach. Nigdy nie powiedział słowa więcej niż było to konieczne. Nawet mnie zdziwiła ta przemowa przed chwilą. Czulem, że ma mnie ochotę objąć i pocałować, był trochę podochocony po tym półlitrze w trzech, ale spojrzal na matkę i zrezygnował z tych niecodziennych czułości. Szybko wyszedł, Bolek też przepędzono do łóżka. Dopilaliśmy we trójkę wystygłą herbatę.

— Matka też czasami ma rację — uśmiechnął się ojciec i powtórzył jej słowa, ale bardziej rzeczowo — Bolek na jesieni idzie do wojska, sami zostaniemy, bo Franek chociaż blisko

— Masz rację, tato, ale... Wszystkie racje to „ale” podważało. A ta moja zgodiwość była kolejnym zaprzeczeniem, nie nazwanym do końca, bo nie chciałem zrobić im przykrości i niepotrzebnie nie pogłębiać własnej bezsilnej złości. Tak na dobrą sprawę nie mogłem zbyt stanowczo protestować, bowiem w tym, co mówił ojciec, było racjonalne jądro. I coś więcej, bo, gdyby mocno poskrobać tę polewą słów — tkwiło tam przywiązanie, szorstka czułość, desperacka próba przedłużenia tego układu rodzinnego, którego już nie przedłużyć nie mogło. Nie dlatego, że ja byłem przeciw, ale że była we mnie od dawna ta obojętność, zamysł odtotu w miejsce zaledwie wyobraźni, w zaledwie przeczucwane niejasno miejsca w świecie, które na mnie czekały. I ja — w tym sensie nie byłem już ich dzieckiem.

— Masz rację, tato, ale... Wszystkie racje to „ale” podważało. A ta moja zgodiwość była kolejnym zaprzeczeniem, nie nazwanym do końca, bo nie chciałem zrobić im przykrości i niepotrzebnie nie pogłębiać własnej bezsilnej złości. Tak na dobrą sprawę nie mogłem zbyt stanowczo protestować, bowiem w tym, co mówił ojciec, było racjonalne jądro. I coś więcej, bo, gdyby mocno poskrobać tę polewą słów — tkwiło tam przywiązanie, szorstka czułość, desperacka próba przedłużenia tego układu rodzinnego, którego już nie przedłużyć nie mogło. Nie dlatego, że ja byłem przeciw, ale że była we mnie od dawna ta obojętność, zamysł odtotu w miejsce zaledwie wyobraźni, w zaledwie przeczucwane niejasno miejsca w świecie, które na mnie czekały. I ja — w tym sensie nie byłem już ich dzieckiem.

— Masz rację, tato, ale... Wszystkie racje to „ale” podważało. A ta moja zgodiwość była kolejnym zaprzeczeniem, nie nazwanym do końca, bo nie chciałem zrobić im przykrości i niepotrzebnie nie pogłębiać własnej bezsilnej złości. Tak na dobrą sprawę nie mogłem zbyt stanowczo protestować, bowiem w tym, co mówił ojciec, było racjonalne jądro. I coś więcej, bo, gdyby mocno poskrobać tę polewą słów — tkwiło tam przywiązanie, szorstka czułość, desperacka próba przedłużenia tego układu rodzinnego, którego już nie przedłużyć nie mogło. Nie dlatego, że ja byłem przeciw, ale że była we mnie od dawna ta obojętność, zamysł odtotu w miejsce zaledwie wyobraźni, w zaledwie przeczucwane niejasno miejsca w świecie, które na mnie czekały. I ja — w tym sensie nie byłem już ich dzieckiem.

— Masz rację, tato, ale... Wszystkie racje to „ale” podważało. A ta moja zgodiwość była kolejnym zaprzeczeniem, nie nazwanym do końca, bo nie chciałem zrobić im przykrości i niepotrzebnie nie pogłębiać własnej bezsilnej złości. Tak na dobrą sprawę nie mogłem zbyt stanowczo protestować, bowiem w tym, co mówił ojciec, było racjonalne jądro. I coś więcej, bo, gdyby mocno poskrobać tę polewą słów — tkwiło tam przywiązanie, szorstka czułość, desperacka próba przedłużenia tego układu rodzinnego, którego już nie przedłużyć nie mogło. Nie dlatego, że ja byłem przeciw, ale że była we mnie od dawna ta obojętność, zamysł odtotu w miejsce zaledwie wyobraźni, w zaledwie przeczucwane niejasno miejsca w świecie, które na mnie czekały. I ja — w tym sensie nie byłem już ich dzieckiem.



FREDRO

Ta książka stała się kontrowersyjną... znaną się drukiem... z fragmentami opublikowanych w „Twórczości”...

racz frederologów o istotę dzieła najwybitniejszego polskiego komediopisarza — jak i osobistym wyznaniem wiary współczesnego poety...

Bardzo łatwo jest „bronić Fredry” przed uczonym, gdy zna się „Zemsta” i „Śluby panieńskie”...

Jarosław M. Rymkiewicz — „Aleksander Fredro jest w zym humorze”. Czytelnik, cena 50 zł.

ANECDOTY DYPLMATYCZNE

Nie wiadomo dokładnie, kto się kryje za kryptonimem „Diplomex”...

Diplomex — „Noty i anegdoty dyplmatyczne”. Wyd. „Iskry”, cena 25 zł.

WSPOMNIENIA MARYNARZA

Wspomnienia Jerzego Kłossowskiego są pierwszą w literaturze pamiętnikarskiej książką przedstawiającą w ogólnym zarysie dzieje powstania Polskiej Marynarki Wojennej...

Jerzy Kłossowski — „Wspomnienia z marynarki wojennej”. Wydawnictwo MON, cena 40 zł.

LISTY JÓZEFA CZECHOWICZA

Tom listów wybitnego poety Józefa Czechowicza, wydanych ostatnio przez Wydawnictwo Lubelskie...

Widowanie korespondencji poety właściwie jeszcze współczesnego jest sprawą delikatną i niekiedy kłopotliwą...

Józef Czechowicz — „Listy”. Wydawnictwo Lubelskie, cena 70 zł.

WARTO PRZECZYTAĆ

M. Heidegger — „Budować, mieszkać, myśleć. Eseje wybrane”. Czytelnik, cena 100 zł.

DAWNA ŁÓDŹ

WALERY WIECHOWSKI

MIASTO RUDA PABIANICKA (1923-1946)

Miasteczko Ruda Pabianicka, wchodząca w skład powiatu łódzkiego, uzyskało prawo miejskie dopiero w roku 1923...

Lat temu 250 część obecnej Rudy, tzw. kolonia Ruda Pabianicka, była dużą wsią o przetrzeźnieniu 300 mórg...

czy to w postaci jurysdykcji, czy w sensie administracji kościelnej, do parafii bowiem pabianickiej przez dłuższe lata należały okolice wsie...

W roku 1869 Ruda wraz z cukrownią i gorzelnią przeszła w ręce przemysłowca łódzkiego, Loevenberga, który cukrownię znacznie rozszerzył...

Ponieważ produkcja buraków w majątku Loevenberga nie wystarczała na potrzeby cukrowni — zachodziła potrzeba sprządzenia buraków z dalszych powiatów...

Zwyszy rozwój Rudy datuje się od roku 1923, od momentu nadania jej praw miejskich...

Wybrał: H. RUD.

P.S. Artykuł Walerego Wiechowskiego o Rudzie Pabianickiej...

13 lutego 1946 roku ponad 60 wsi i enklaw oraz miasto Ruda Pabianicka — zostały włączone do Łodzi...

WACŁAW PAWLAK

ŁÓDŹ — KALISKA

Planowana przez resort komunikacji generalna przebudowa Dworca Kaliskiego nie może jakoś wejść w fazę pełnej realizacji...

Dworzec Kaliski wzniesiony został w 1902 roku w związku z budową nowej linii kolejowej z Warszawy do Kalisza...

do ówczesnej granicy pruskiej. Dopiero jednak w 1874 roku rząd carski wyraził zgodę na podjęcie prac przygotowawczych...

W 1900 roku sprawa budowy kolei do Kalisza stała się znowu aktualna. Złożono w tym celu Towarzystwo Warszawsko-Kaliskiej Kolei Żelaznej...

ADAM OCHOCKI

BYŁ W ŁÓDZI „TABARIN”

Na parkiecie krzyżowała się światła reflektorów. Zielone, czerwone, żółte. Orkiestra grała tancerne tango...

Już trzy razy przebrzmiały tonny canty, trzy razy powtórzono refren, orkiestra jednak gra dalej. Ubrany we frak maestro nie daje znaku swym kolegom...

Józef Czechowicz — „Listy”, Wydawnictwo Lubelskie, cena 70 zł.

światowa przy ówczesnej ulicy Dzielnej (Narutowicza), tuż przy Piotrkowskiej, znajdowała się niewielka księgarnia pod firmą Alfred Strauch...

W sali Filharmonii, bo tak się ten taniec nazywał, odbywa się inna impreza. Walki francuskie cieszyły się dużym powodzeniem...

Organizatorem walk francuskich dla pań był Celmajster, właściciel „Tabarinu”, nowego lokalu, mieszczącego się z frontu na paterze w tym samym gmachu co Filharmonia...

W warszawcy. Prezesem Towarzystwa został baron Leopold Kronenberg (junior). Budowniczości kolei zamierzali odcinek linii pomiędzy Zgierzem i Pabianicami poprowadzić najkrótszą trasą przez prywatny majątek Brus...

Ostatecznie zatwierdzony został projekt komisji obywatelskiej, powołanej specjalnie dla dokładnego oznaczenia miejsca pod budowę dworca...

wał barczysty portier, spełniający dodatkową funkcję wikłidajki. Łódź miała w ówym czasie sporo lokali rozrywkowych...

Krótkiego wieczoru w „Tabarinie” rozegrała się tragedia. Wikłidajki nie chciał wpuścić na salę dwóch pijaków i padł przesyty kulami...

Przykro mi dziś bardzo, ale ja przyczyniałem się do popularyzowania tej imprezy. Pisałem szesnaste wprowadzenia do „Expressu” i to w takiej formie...

Z przygotowanego do druku tematu wspomnień pt. „Reporter przed konfesojałem”, czyli jak się przed wojną robiło w Łodzi gazecie...

rolewskiej. W rzeczywistości zaś ze względów oszczędnościowych zabudowano tylko dwa wiadukty...

Uruchomienie linii kolejowej do Kalisza nastąpiło 15 listopada 1902 roku. Najważniejszą stacją na całej trasie kolei znajdowała się w Łodzi...

Nowa droga żelazna, a zwłaszcza zachodnia jej część, wiodąca przez łódzki okręg przemysłowy, stwarzała ogromne bodźce dla dalszego rozwoju okręgu...

Doskonałe prosperowanie i wysoka rentowność kolei kaliska stała się zażądaniem dla rządu...

Impreza odbywała się w sali Teatru Kameralnego przy zbiegu Piotrkowskiej i Traugutta, gdzie dzisiaj gra Teatr 7.15. Powodzenie nie było obzernie. Takich kas nie miał żaden teatr łódzki...

— Kieedy śni Kazbek... — intonuje, a jakis dowcipnik z pierwszego rzędu widowni przykłada rękę do ucha i woła: — Co? Co takiego? Niech pan powtórzy, to takie ładne!

Tamten przerywa, kłania się wyrozumiale i podejmuje na nowo: — Kieedy śni Kazbek...

Ryki widowni nie deprymują go. Wśród owacji kończy piosenkę i zadowolony schodzi z estrady, na której odbywa się kolejny numer...

Nie martwiłem się długo utratą „referatu prasowego” w „Tabarinie”; niebawem nadarzyła się nowa okazja. Do Łodzi przyjechał ostatecznie impresario Torner...

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

WIZJA SPRZED PÓŁ WIEKU

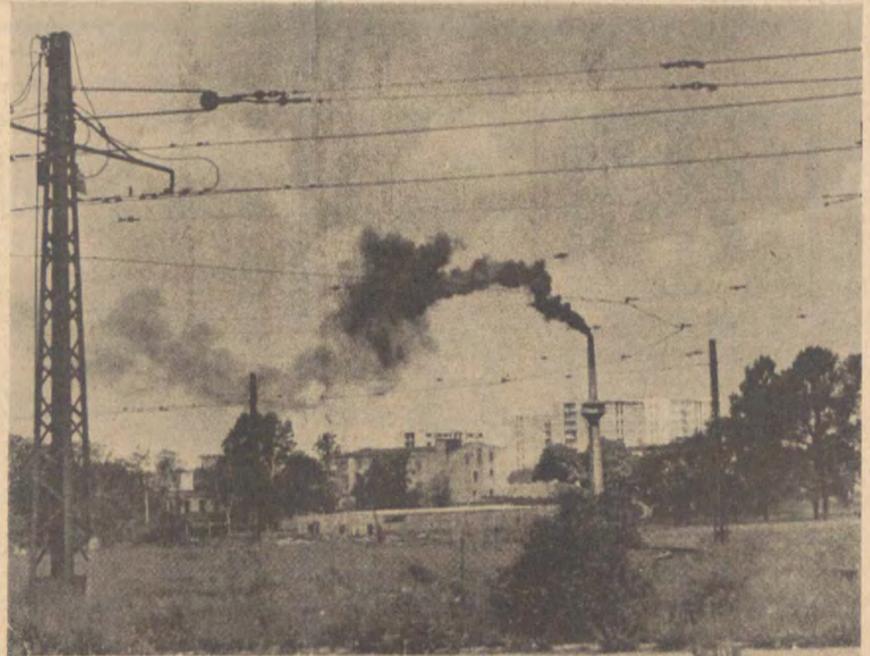


Foto: W. Parys

Pół wieku temu, 17 kwietnia 1928 roku, niejaki F. (niestety, nie udało się rozszyfrować kryptonimu) opisał na łamach „Ilustrowanej Republiki” swą wizję Łodzi za sto lat. Taka dziennikarska futurologia była i jest zjawiskiem dość częstym i może nie byłoby sensu przytaczać owego artykułu, gdyby nie to, że jest on w jakiś sposób proroczy. Futurologia łódzkiego dziennikarza sprzed pół wieku nie ma nic z owych rozważań warszawskiej prasy XIX wieku, która martwiła się, gdzie się pomieszcza owe stajnie dla dorozkarskich koni, których — jak obliczono — Warszawa będzie miała 300 tysięcy w roku 1970.

Dlatego nie dla żartu przedrukujemy fragmenty artykułu z roku 1928:

— „Chciałbym zobaczyć Łódź za 100 lat.

Na razie wolno nam tylko snuć wizję przyszłości naszego miasta, wolno nam tylko wyobrazić sobie Łódź w roku 2028, lecz czy realna przyszłość zgodna będzie z naszymi planami, tego, niestety, nie wiemy... Sprawdzeniem tego rachunku zajną się już nasi potomkowie.

Jest rzeczą więcej niż pewną, że wiek XXI będzie wiekiem „bez ognia”.

Genialny wynalazek Prometeusza pozostawi jeszcze pewne ślady w ogromnych instalacjach centralnego ogrzewania,

lecz na ogół węgiel będzie spalany na drodze chemicznej. Innowacja ta, od dziś już datująca swój początek, wprowadzi bezwzględny przewrót w fabrykach łódzkich. Las kominów skończy swe panowanie nad naszym miastem, a wraz z nim zniknie największa bolączka Łodzi, nie dająca dziś spokoju higienistom i lekarzom — dym i sadze.

Na ulicach Łodzi wnikowicie nasi wdychać będą czyste powietrze, pozbawione trujących składników, buchających czarnymi kłębami z kominów fabrycznych.

Nawet kolej żelazna porzędzie się węgla, który zużyty zostanie wyłącznie do wyrobu gazu i celów c.o. Zamiast ognia będziemy mieli elektryczność.

Oczywiście, że wólnie to również na wygląd fabryk łódzkich, które nie będą już robiły wrażenia „czerwonych wież”. Brak dymu i sadzy umożliwi robotnikom stosowanie jednolitego stroju przy pracy, odpowiadającego warunkom higienicznym. Zamiast więc ciemnych, nieestetycznych bluz, robotnicy nosić będą w czystych hałach fabrycznych białe kitle, jak lekarze, aptekarze, dentyści. (...)

W dziedzinie budowy domów zajdą również kolosalne zmiany. Dziś już czytamy w piśmiech o nowym wynalazku niejakiego Knapa w Paryżu, który wpadł na genialny pomysł stworzenia „elektrycznego domu”. Oto, celem zmniejszenia kosztów budowy domów p. Knap zastosował zupełnie wyeliminowanie pracy murarzy, cieśli i architektów. (...)

Wspólnicy, przystępujący do budowy domu, nabywają na własność, albo pożyczają serię skonstruowanych przez p. Knapa form, do których wlewa się mieszaninę betonową. Po uskutecznieniu niezbędnych prac, związanych z rozbiórka owych form, po zastąpieniu betonu, umocowaniu okien, drzwi, dachu itp., staje domek, nieozdobny wprawdzie, ale trwały, wygodny i co najważniejsze — bardzo tani. Wszelkie roboty wykonują przyszli lokatorzy, własnoręcznie, w dniach wolnych od zajęć. W Troyes i kilku innych miastach francuskich domki takie już istnieją i są zamieszkałe.

Czy nie mamy wobec tego prawa przypuszczać, że projekt p. Knapa rozwiąże do pewnego stopnia kryzys mieszkaniowy na całym świecie i że tym samym przyczyni się do zmiany zewnętrzznego wyglądu Łodzi w perspektywie 100 lat?

Mineła zaledwie połowa wieku i okazuje się, że łódzki dziennikarz myślał racjonalnie

ny. Dziś już czytamy w piśmiech o nowym wynalazku niejakiego Knapa w Paryżu, który wpadł na genialny pomysł stworzenia „elektrycznego domu”. Oto, celem zmniejszenia kosztów budowy domów p. Knap zastosował zupełnie wyeliminowanie pracy murarzy, cieśli i architektów. (...)

Wspólnicy, przystępujący do budowy domu, nabywają na własność, albo pożyczają serię skonstruowanych przez p. Knapa form, do których wlewa się mieszaninę betonową. Po uskutecznieniu niezbędnych prac, związanych z rozbiórka owych form, po zastąpieniu betonu, umocowaniu okien, drzwi, dachu itp., staje domek, nieozdobny wprawdzie, ale trwały, wygodny i co najważniejsze — bardzo tani. Wszelkie roboty wykonują przyszli lokatorzy, własnoręcznie, w dniach wolnych od zajęć. W Troyes i kilku innych miastach francuskich domki takie już istnieją i są zamieszkałe.

Czy nie mamy wobec tego prawa przypuszczać, że projekt p. Knapa rozwiąże do pewnego stopnia kryzys mieszkaniowy na całym świecie i że tym samym przyczyni się do zmiany zewnętrzznego wyglądu Łodzi w perspektywie 100 lat?

Mineła zaledwie połowa wieku i okazuje się, że łódzki dziennikarz myślał racjonalnie

i jeśli popuszczal wodzę fantazji, to w granicach zdrowego rozsądku.

W jakże wielu fabrykach ubiorem robotniczym jest biały fartuch, ucichł także (choć jeszcze nie wszędzie) porażający hałas maszyn. Znikła też powoli, lecz konsekwentnie las kominów i oddycha się już w Łodzi coraz czystszy powietrze. Otwarta nadal jest sprawa podziemnej komunikacji — co jakiś czas czytamy informacje na ten temat. Realizacja jest jeszcze daleko, ale też

przecież dziennikarz „Republiki” dał nam sporo czasu — mamy jeszcze 50 lat na realizację metra.

Także i w dziedzinie budownictwa trafili nasz wizjoner w sedno. Przecież ów „wynalazek Knapa” to nie innego jak dzisiejsze kompletne sekcje budowlane z fabryk domów, montowane na placu budowy. No i ta wzruszająca prognoza, że wszelkie roboty wykończeniowe wykonują własnoręcznie przyszli lokatorzy! Niegłupio też przewidział nasz wizjoner

podział urbanistyczny na centra przemysłowe, mieszkaniowe, handlowe... Wygląda to dziś może trochę inaczej, ale przecież myśl jest ta sama.

Dlatego warto było przypomnieć owa wizję Łodzi roku 2028, spisana pół wieku temu. Weale nie jest śmieszna, przeciwnie — budzi szacunek: racjonalizm i mądrość, choć przecież powstała w zupełnie innej, anachronicznej już dziś epoce.

WIDOK

REFLEKSJE

PRZYGDNE ROZMOWY

Jakie recenzje najbardziej cenią sobie pisarze? Wydaje mi się, że najgoręcej są przyjmowane opinie czytelników, zawarte w listach czy też bezpośredniej rozmowie. Wyznanie czytelnika, że książka go wzruszyła, że mu się podoba, że przeżył ją głęboko, najbardziej cieszy, dodaje sił autorowi. Jak świadczy wypowiedzi pisarzy, chociażby w ostatniej ankiecie, rozpisanej przez tygodnik „Kultura”, opinie czytelników wpływają decydująco na postawę autora. „Traktuję czytelnika jako współtwórcę naszego wspólnego świata, jako niezbędnego partnera” — pisze jeden z pisarzy. A inny powiedział: „Choć moje własne życie nie płynęło po różach, szukam osobistych kontaktów z tymi, co przeżyli cięższe rzeczy niż ja, a więc są ode mnie mądrzejsi. Ich towarzystwo mnie uszlachetnia i przystoi mi wobec nich pokora i wdzięczność.

Na wieczorach autorskich pytam nieraz sam siebie: kto kogo ma tutaj uczyć? Ja ludzi — czy ludzie mnie? Piszę to dlatego, że u postawy naszych wszystkich rozważań o stosunkach między czytelnikami i pisarzami leży milczące, błędne założenie, że mądrzejszy jest zawsze pisarz.”

Dla ludzi, którzy cenią książkę drzwi do bibliotek są zawsze otwarte. Bo książka, jak napisał kiedyś Jarosław Iwaszkiewicz, jest dla nas rozmową, której się wciąż łaknie i bez której nie można żyć. „Może ona ukazywać ludziom nowy aspekt życia, pobudzać ich do działania czy myślenia, czy też dać im po prostu satysfakcję estetyczną. Ale w jakimś sposób musi ona zaważyć na życiu czytelników.”

W swojej praktyce literackiej spotkałem wielu ludzi milują-

ych książki, którzy potem zostali sportretowani w powieści, opowiadaniu czy reportażu. Spotykałem ich w świetlicach wiejskich i klubach przyzakładowych. Pamiętam rozmowę sprzed wielu lat z rencistą, byłym pracownikiem zakładów im. Kunickiego. Miał wówczas około siedemdziesiątki. Nie wiem, co się z nim dzisiaj dzieje. Nosił się bardzo gustownie. Był regularnym gościem biblioteki zakładowej. Rozczytywał się w powieściach historycznych, chętnie brał do ręki wspomnienia z II wojny światowej. Opowiadał, że po skończonej robocie szedł na swoją działkę, siadł na ławce i czytał. Był znakomitym narratorem. Wspominał teatr na Konstantynowskiej, mówił o pierwszych bibliotekach w Łodzi. W książce odnajdywał, jak mówił, treść swojego życia. „Panie, ja bym bez książki nie żył. Ja bym był złym pracownikiem. To książki wyzwalały we mnie chęć do pracy.”

Spotkałem wielu ludzi milują-

Spotykałem się z nimi w zakładach Harnama i w klubie „Przajęczka”. Z jaką oni ciekawością i zachłannością słuchają każdego wykładu! Świetlica stała się w ich życiu bardzo ważną instytucją. Jest miejscem spotkań towarzyskich, ale także miejscem, gdzie uzupełnia się swoją wiedzę.

Bardzo mnie wzruszyła kiedyś rozmowa z pewnym elektrykiem, który po spotkaniu w Bibliotece na ulicy Tuwima powiedział: „Proszę pana, gdyby w naszym domu zepsuła się instalacja elektryczna, proszę mi dać znać, ja za darmo wdzieczności za rozmowę o książkach. Nie wiem, czy na to zasłużyłem, ale do dziś pamiętam te słowa i żałuję, że nie zapisałem imienia i nazwiska mojego rozmówcy. Czuję się tak, jakbym zgubił ślad przyjaciela.”

Niedawno rozmawiałem z pewnym włókniarzem, który zwierzył się, że w domu posiada biblioteczkę. „Książki!

Cóż ja bym bez nich robił? Życie byłoby bardzo smutne”. „Fabryka — mówił — to nie tylko maszyny, produkcja, to także biblioteka, związki, organizacje, dom kultury. Jedno bez drugiego nie może być. Są tacy, którzy tego nie widzą. Takiego pana od razu pozna”. Z wyznania mojego rozmówcy wybierałem to, co wydaje mi się najcenniejsze: „umiowanie książki, która dostarcza nie tylko rozrywkę, ale i uczy” („Kiedy czytam dobrą książkę, mam zadowolenie wewnętrzne — powiedział) oraz stosunek do pracy, który określa postawę każdego pracownika. To są cnoty, które pielęgnuje się szczególnie w starych rodach włóknarskich. Pewna pani, legitymująca się studiami wyższymi (nie podaje zawodu, że by nie obrazić innych), powiedziała: nie czytam pism literackich, bo nie jestem humanistką. Mój robotnik powiedział: bez książki nie byłbym dobrym pracownikiem.

Irena Lepalczyk w szkicu „Aktywność społeczna i oświa-

ta włóknarzy” zamieszczonym w tomie „Włókniarz łódzki” dowodzi, że włóknarz czas wolny przeznaczony na wszechstronny rozwój własnej osobowości, na kształtowanie wartościowych treści życia rodzinnego, na prace społecznie użyteczne dla kręgu sąsiedzi (..) ma dokształcanie zawodowe i ogólne oraz (...) na snuć marzeń (...). Nawet wyrazy niezadowolona (...) są dowodem marzeń, które nie zrealizowane dość szybko wywołują zniechęcenie i sprzeciw. Włóknarzowi łódzkiemu nie grozi nuda, nie obawia się on strachu przed wolnością w postaci narastającego czasu wolnego”. Autorka zastrzegła się, że powyższy obraz dotyczy tylko bardziej aktywnych robotników, ale „uogólniając go, będziemy bliżej prawdy dnia jutrzejszego”.

Myślę, że nasze „jutro” można zobaczyć już dzisiaj. Trzeba tylko uważnie rozglądać się wokół i rozmawiać z ludźmi.

TADEUSZ PAPIER

LEKTURY

ARTYSTYCZNY HYDE PARK

Od wielu lat jestem zagorzałym czytelnikiem wszelkich „poczt literackich”, „rozmów z czytelnikami”, „listów do Pegaza” — a więc rubryk, w których redaktorzy działów poezji oceniają nadsyłane do redakcji propozycje poetyckie, prozatorskie, satyryczne, dramaturgiczne. Czytam uważnie te „rubryki” nie tylko zresztą z tego powodu, że czasem znajduję w nich swoje nazwisko, do czego przyznaję się bez wstydu i fałszywej skromności. Interesują mnie także owe rubryki jako swoisty przejaw życia kulturalnego, a w szczególności literackiego. Korespondencje tych rubryk działają bowiem jako swoisty barometr rejestrujący wszelkie rocznice państwowe, święta, jubileusze, tematy modne i „zaangażowane”. Swój rekord w dziedzinie jednego tematu padł w roku kopernikowskim, kiedy to biurka i szuflady redaktorów poezji poczęły uginać się od poetycko-prozatorskich hymnów ku cześci i okazji.

Z lektury owych „listów do Pegaza” można także odczytać, który z twórców cieszy się największym wdziękiem, który z poetów stał się modny, pod kogo dzisiaj „się pisze”. Osobnym barometrem są wypisywane w tych rubrykach oceny redaktorów. Zazwyczaj po jakimś czasie umiem już powiedzieć, który z nich zachwycił się Różewiczem, wielbi Grochowiaka. Mógł także powiedzieć z niejaką dokładnością — co ostatnio przeczytał redaktor X, Y, Z...

Wydaje mi się, że sprawa dojrzała do naukowego opracowania. To, że owe rubryki nie stały się jeszcze tematem pracy doktorskiej czy magisterskiej jeszcze raz dowodzi słabości naszej polonistyki, nienadążania za duchem czasu, a przynajmniej tego, że poloniści nie czytają bieżącej prasy literackiej.

Nie ma więc żadnego naukowego omówienia tego zjawiska, toteż sądzę, że warto tę lukę wypełnić choć skromnym felietonem.

Z ową „masowością” pisania, z tym zalewem wierszy, wierszyków i poematów — to naprawdę zadziwiająca sprawa.

Od Bóg wie jak dawna historia literatury notując biografie znanych i znakomych twórców szczełowało — żeby nie powiedzieć z lubością — wylizała ich wszystkie załamania, kryzysy, stresy, a przede wszystkim porażki. Rzadziej zaś o notowuje sukcesy, no a jeśli, to najczęściej są to zwycięstwa odniesione przez twórców po ich najdłuższym życiu. A i nasza telewizja — w ramach poszukiwań interesujących osóbowości — co weźmie się za lansowanie jakiegos wielkiego współczesnego, to w rezultacie prawie zawsze okazuje się, że tenże współczesny prowadził lub prowadzi życie burzliwe, od porażki do porażki, od kłeski do kłeski.

Nie zachęcający do obraz, daleko odbiegający od arka-dyjskiego szczęścia KREATORA, ale czy zdolny jest ten obraz zniechęcić innych do chwytania za pióro? Nie. Nawet wtedy, gdy tak zwany adepty pióra ma doskonały zawód: inżyniera, lekarza, budowniczego, wynalazcy. Oto jeden z wielu przykładów odna-

leżony w redakcyjnej pocztce: „Szczepan panie inżynierze — odpowiada redaktor. — Dziękujemy za interesujący list. Pisze pan o rozpoczętej około 1956 roku „zabawie z piórem”, której efektem jest liczący kilkadziesiąt utworów zbiór wierszy. Niestety, z propozycji współpracy skorzystał nie możemy. Wszystkie bez wyjątku utwory, zarówno te sprzed lat, jak i te najnowsze, operują stylistyką, która nie wytrzymała próby czasu. Podobnie proponowany przez pana obraz poetycki nie w pełni odpowiada wymogom stawianym przez współczesną poezję”.

Czy po takiej odpowiedzi pan inżynier przestanie pisać, a co gorsza — nadsyłać do każdej z redakcji swój liczący kilkadziesiąt utworów zbiór? Wątpię, bo wielka jest siła przyciągania literatury. Na szczęście.

Osobna sprawa to tematyka nadsyłanych utworów. Oczywiście dominuje tematyka erotyczna. Coś w tym jest. Liczna rzesza korespondentów „poczt literackich” wyzuwa brak zainteresowania profesjonalistów tym tematem. Stąd zalew erotyków. Oto jedna z odpowiedzi redaktora „rubryki”.

„Uprawia pan formę krótką, zwięzłą, gdyż ona jedna może

czytelnika „zmusić do refleksji, pobudzić do zadumy. I oto przykład:

— Kochasz mnie?
— Bardzo!
— A mógłbyś żyć nie mając mnie?

— Ani sekundy!

— A co byś zrobił?

— Mężczyzna wyrwał się z objęć kobiety i rozbijając z brzękiem szybę wyskoczył przez okno.

— Rzeczywiście. On mnie kocha — wzruszyła się kobieta. Czy którykolwiek ze współczesnych pisarzy kazalby potwierdzić swojemu bohaterowi miłość wyskakiwaniem przez okno? Żaden. A szkoda. Poeci, pisarze o miłoścu.

Poświęćmy teraz słówko redaktorom, tym zawodowym „oceniaczom”.

Zasada jest prosta. Redaktor, jak Bóg, wie lepiej. Choć nie zawsze, czego najlepszym przykładem krążąca do niedawna anegdota. Jeden z ogromnej rzeszy respondentów wszelkich poczt literackich po kolejnej druzgocącej ocenie swoich wierszy, dokonanej przez redaktora miejscowego tygodnika postanowił się zemścić. Odnalazszy w wyborze wierszy Juliusza Słowackiego pewien, mało znany utwór — przepisał go na

własnej maszynie i pod swoim nazwiskiem wysłał do tegoż redaktora. Odpowiedzi nie było przez prawie 2 miesiące. Wreszcie ukazała się. Krótka. „Na druk jeszcze za wcześnie”. Nazwemu żartowniślowi nie pozostało nic innego jak wysłać do redaktora ponowny list z zapewnieniem, że „na druk już jest za późno”, a całą sprawę rozkoportować po mieście.

Ten przykład jednakże jest, przynajmniej dla mnie, potwierdzeniem zasady, redaktor wie lepiej.

Czy warto utrzymywać w piśmie literackim te wszystkie poczt, rubryki, odpowiedzi? Warto. Nie tylko zresztą dlatego, że mają tak wielu korespondentów i czytelników. Warto także dlatego, że a nuż któryś z jego redaktorów odkryje w stosie nadesłanych utworów geniusza. I co będzie? Kto mu odpowie: na druk jeszcze za wcześnie? Dotychczas geniusza żaden z redaktorów nie odnalazł, ale kto wie?

MIROSLAW KUŹNIAK